

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII

Warszawa, 21 września 1952 r.

Nr 38 (356)

W NUMERZE m. in.:

Z. LICHNIAK — Dokument czasu
P. ALEXANDROWICZ — Szemrajowa
Z. SKIERSKI — Spotkanie z kłamstwem
A. PATON — Sąd nad czarnym chłopcem
M. T. MILEWSKI — „Geografia głodu”
K. KOZMIŃSKI — Trakt Sta-romiejski

Bolesław PIASECKI

Perspektywy rozwojowe Frontu Narodowego

Referat wygłoszony na Ogólnopolskiej Konferencji Intelktualistów i Działaczy Katolickich

PREZYDIUM Ogólnopolskiej Komisji Intelktualistów i Działaczy Katolickich przy PKOP, zalecając zorganizowanie dyskusji na temat perspektyw Frontu Narodowego w Polsce właśnie w tym czasie, kierowało się niewątpliwie wysoką aktualnością i doniosłością tematu. Trzeba stwierdzić, że dwa ważne wydarzenia ideowo-polityczne, jakimi są Konferencja w sprawie Frontu Narodowego, która odbyła się w Radzie Państwa dnia 30 sierpnia r.b. a następnie powołanie Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego wraz z ogłoszeniem deklaracji wyborczej tego Komitetu, — trzeba stwierdzić, że dwa te wydarzenia dostarczają podstawowego materiału dla naszych obrad.

Wydaje się najwłaściwszym przystąpić do tematu przez znalezienie precyzji dwóch zagadnień: co reprezentujemy we Froncie Narodowym i kogo reprezentujemy. Pierwsze zagadnienie dotyczy zakresu ideologicznego, drugie zakresu społecznego Frontu Narodowego.

Istnieje parę poglądów na zakres ideologiczny Frontu Narodowego. Front partyjnych i bezpartyjnych może przybrać charakter jednoci dwóch rodzajów ludzi: jednych, którzy zdecydowali poddać swoje życie dyscyplinie, wynikającej z należenia do aktywu ideowo-politycznego narodu i drugich, którzy, pracując w swoich zawodach jak najuczciwiej dla Ojczyzny, chcą zachować więcej prywatnej swobody i ponosić mniej osobistej odpowiedzialności. W ważnych chwilach dla narodu te dwa rodzaje ludzi dają wyraz łączącej ich nadrzędnej solidarności, tworząc Front Narodowy. Charakterystyka taka nie wyczerpuje problematyki polskiej. Kraj nasz nie jest jednolity światopoglądowo, występują w nim wyraźnie światopogląd materialistyczny i światopogląd religijny na wszystkich poziomach życia narodowego. Oczywiście, mówiąc, że światopogląd religijny występuje w całym przekroju życia naszego społeczeństwa, odrzucamy te wszystkie wypadki, gdzie nie jest on wyrazem świadomości człowieka, a tylko obłudną przykrywką dla wojennych, kapitalistycznych i konserwatywnych poglądów.

Są środowiska, które uważają Front Narodowy za rodzaj bloku grup społecznych o sprzecznych interesach, a ideologię takiego bloku charakteryzują jako najrozsądniejszy kompromis czy wypadkową sił. Przeważnie tak rozumiany Front Narodowy powstaje w okresie przedwyborczym i ma charakter przejściowego bloku stronnictw. I ten wypadek nie zachodzi w naszym kraju. W Polsce od ośmiu lat dokonywuje się wielka rewolucja społeczna, która nie może i nie wejdzie w żaden kompromis ze starym, niesprawiedliwym, bo służącym interesom mniejszości, światem.

Omówienie scharakteryzowanych wyżej dwóch nie opartych na rzeczywistości poglądów na Front Narodowy w Polsce daje właściwy materiał do prawidłowego rozwiązania zagadnienia. Rzeczywisty Front Narodowy obejmuje wszystkie te siły, którym jest droga sprawa niepodległości i lepszej przyszłości Ojczyzny, którym jest bliska sprawa postępu społecznego, oraz zawiera w sobie zasadę uszanowania odrębności światopoglądowej swych członków. Szkodliwy, bo hamujący rozwój naszego kraju byłby Front Narodowy, któryby poszedł drogą łatwiny i zaczął w jakikolwiek sposób paktować z pozostałościami zacofania społecznego i gospodarczego Polski. Fikcyjny, a zatem dla dobra powszechnego szkodliwy byłby Front Narodowy, oparty na zasadzie lekceważenia istniejących odrębności światopoglądowych.

We Froncie Narodowym odbywa się zatem powodowane odpowiedzialnością za los kraju spotkanie wierzących i niewierzących. Ważna jest kolejność zagadnień, które w tym spotkaniu reprezentują ze swej strony. Chciałem z naciskiem podkreślić, że musimy reprezentować najpierw rzeczy zrozumiałe dla naszych towarzyszy we Froncie Narodowym, a dopiero następnie sprawy dla nich światopoglądowo obce. Z tego wynika, że we Froncie Narodowym jesteśmy przede wszystkim po to, by służyć współczesnym naczelnym potrzebom naszego narodu, jak walka o pokój wewnętrzny i międzynarodowy, walka o kontynuację przebudowy społecznej, gospodarczej, oświatowej całego kraju zapoczątkowana w roku 1944. Wydaje się wysoce celowe posługiwać się terminem „walka”, gdyż świadomi członkowie Frontu Narodowego winni się charakteryzować nie tylko intelektualnym zrozumieniem jego celów, ale także wolą ich realizacji. Szczegółowe ujęcie treści tej walki znalazło

swój wysoce przemyślany wyraz w odezwie wyborczej Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego. Dopiero na bazie głębokiego przemyślenia i zdecydowanej woli realizacji nadrzędnych potrzeb narodowych możemy w sposób właściwy reprezentować w naszym spotkaniu z marksistami we Froncie Narodowym sprawę dla nich ideologicznie obcą, jaką jest światopogląd religijny. Odpowiedzmy sobie obiektywnie na pytanie, dlaczego wśród myślących katolików wzrósł i wzrasta szacunek dla wyznawców ideologii marksistowskiej. Przecież nie dlatego, że marksści nie wierzą w Boga. Nasz szacunek, poczucie wspólnoty wielu zasadniczych celów z marksistami, wzrasta, ponieważ widzimy ich czystą i pełną wielkich osiągnięć służbę podstawowym interesom naszego narodu. Z tego płynie prosta konsekwencja, że i odwrotnie, szacunek marksistów dla światopoglądu katolickiego nie będzie wynikał z tego, że wierzymy w Boga, ale z rezultatów naszej służby konkretnym potrzebom kraju.

PO tych rozważaniach, określających odpowiedź na pytanie, co reprezentujemy we Froncie Narodowym, nie trudno jest określić kogo reprezentujemy. Jest w Polsce szeroki krąg ludzi wierzących, którzy nie tylko akceptują, ale budują własną pracą nową przyszłość narodu. Jest w Polsce szeroki krąg ludzi wierzących, dla których wiara nie jest przyzwyczajeniem, ale stanowi zasadniczy element intelektualnej świadomości, dla których wiara nie jest uwarunkowana mijającą epoką kapitalizmu i resztek feudalizmu, ale porządek transcendentny w stosunku do wszelkich okresów historycznych, dla których wiara nie jest sposobem obrony i rozgrzeszenia niesprawiedliwych warunków życia społecznego, ale stanowi impuls do szukania nowych, lepszych warunków życia ludzi na ziemi. Sądze, że byłoby rzeczą zarozumiałą twierdzić, że te siły reprezentujemy we Fron-

cie Narodowym, ale nie wątpię, że dam wyraz naszemu wspólnemu poczuciu odpowiedzialności, stwierdzając, że ambicją naszą powinno być stanowienie jednego z przejawów aktywności tych sił.

Front Narodowy jest organizacją sił społecznych, które zgrupowane pod przewodnictwem partii klasy robotniczej, mają za podstawowe zadanie pogłębianie świadomości ideowo-politycznej i wysiłku pracy dla dobra powszechnego najszerzych mas. Front Narodowy jest wyrazem naturalnej, zdrowej mobilizacji sił narodu wobec zagrożenia wojennego, wobec neo-hitlerowskich a akceptowanych przez polityków amerykańskich zakusów na nasze Ziemie Zachodnie, jest wyrazem coraz bardziej potężniejszego wysiłku całego narodu, miast i wsi, robotników, chłopów, inteligencji dla realizacji wielkich społecznych, gospodarczych i oświatowych zadań Planu 6-letniego. Dlatego jednak waga społeczna wszystkich wypowiedzi, które padną na tej sali, dopiero wtedy nabiera znaczenia, gdy zostanie przeniesiona w teren, gdy stanowić będzie okazję dla wielu katolików polskich do powiększenia ich wysiłków w pracy nad umocnieniem Frontu Narodowego. Dlatego wydaje się być właściwym kontynuować rozważania na temat perspektyw Frontu Narodowego na tle trudności, z jakimi w naszej akcji spotykamy się w terenie.

Zacytuje tu parę „nie warto”, które stanowią typową argumentację przeciwników Frontu Narodowego, przeciwników udziału katolików we Froncie Narodowym. Mają one postać następujących fałszywych sugestii. „Nie warto brać udziału we Froncie Narodowym, bo marksści sprowadzą go do fikcji, a katolicy nie będą w nim mieli żadnego znaczenia”. „Nie wolno brać udziału we Froncie Narodowym, bo to pomaga marksistom, a marksści są wroga-

mi religii”. „Nie można brać udziału we Froncie Narodowym, bo w ten sposób akceptujemy wszystkie krzywdy i błędy, które się stały z winy rewolucji od 1944 roku”. Do tych „nie” należy dodać jeszcze sceptycyzm, który brzmi mniej więcej tak: „łatwo wam mówić o Froncie Narodowym w Warszawie, ale spróbujcie w nim uczestniczyć na odległej prowincji, w jakiejś gminie czy małym miasteczku, a zobaczycie, jak wąsko jest on rozumiany przez miejscowe władze”.

ZAGADNIENIE ZNACZENIA KATOLIKÓW WE FRONCIE NARODOWYM

Przede wszystkim należy potępić niedorzeczna, błąkająca się jeszcze w zacofanych środowiskach opinię, jakoby katolicyść upoważniała do patrzenia z góry, patrzenia pobłażliwego na konieczność służby interesom narodu. Wszyscy, katolicy i marksści, jesteśmy po to, aby służyć konkretnym potrzebom całego naszego społeczeństwa. Trzeba budować przemysł, trzeba walczyć o zachowanie pokoju, trzeba podnosić oświatę, trzeba unowocześniać rolnictwo. Katolicy, uczestnicząc we Froncie Narodowym, przyczyniają się w stopniu bardzo poważnym do lepszego i sprawniejszego wykonywania tych zadań i to są motywy, które ich tam siłą obowiązku narodowego kierują. Nie można stawiać problemu w sposób sprzeczny z naturalnym porządkiem rzeczy. Nikt poważny nie może powiedzieć: będę patriotą, o ile będę miał gwarancję perspektywy rozwoju mojego światopoglądu. Poprawne jest natomiast bezkompromisowe, bezwarunkowe realizowanie postawy patriotycznej i w oparciu o jej autorytet przestrzeganie postulatów wieloświatopoglądowości Frontu Narodowego. Znaczenie katolików we Froncie Narodowym jest funkcją rodzaju świadomości ideowo-politycznej, jaką posiadają w Polsce ludzie, przywiązujący wagę do wyznawanych przekonań religijnych. Wszyscy, którzy nadużywają religii dla szerzenia nastrojów wojennych, wszyscy, którzy chcą użyć potęgi przeżycia religijnego dla umniejszenia patosu walki, jaką naród Polski toczy z wielokimi zaniechaniami gospodarczymi i społecznymi w drodze do swej wielkiej przyszłości, ci wszyscy umniejszają znaczenie katolików we Froncie Narodowym. I na odwrót, ci wszyscy wierzący, którzy realizują pełną postawę patriotyczną, potrafią służyć postulatowi dwustronnego Porozumienia między Kościołem a Państwem, potrafią tak realizować katolickie postulaty kulturalne, aby nie były dywersją kapitalistyczną w Polsce Ludowej, ci wszyscy wzmacniają pozycję światopoglądową katolików we Froncie Narodowym. O za-

(Dokończenie ze str. 2.)

Kongres Ziemi Odzyskanych

21 września rozpocznie obrady we Wrocławiu Kongres Ziemi Odzyskanych. Uchwala Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego o zwołaniu Kongresu głosi:

„Celem zmanifestowania jednoci Narodu Polskiego wobec zaburzonych knowań amerykańsko-hitlerowskich imperialistów, przeciw naszym granicom zachodnim i naszej Niepodległości;

Celem podsumowania dotychczasowego dorobku w dziele zespolenia Ziemi Odzyskanych z macierzą we wszystkich dziedzinach życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego;

Celem ugruntowania wśród milionów Polaków zrozumienia konieczności dalszego wysiłku dla rozkwitu Ziemi Odzyskanych —

Ogólnopolski Komitet Wyborczy Frontu Narodowego postanowił zwołać na dzień 21 września br. Kongres Ziemi Odzyskanych do Wrocławia”.

Te trzy zasadnicze zadania Kongresu określają z całą wyrazistością jego doniosłe znaczenie. Zbiera się on w okresie wzmocnionej propagandy antypolskiej na

zachodzie Niemiec. Zbiera się on jednak równocześnie w chwili, gdy naród polski jednoczy się we Froncie Narodowym w pracy i walce o wspólne cele. Wśród bezspornych zadań ogólnonarodowych jednym z najbardziej podstawowych jest właśnie ugruntowanie polskiego posiadania nad Odrą i Nysą, rozwój polskiej gospodarki i polskiej kultury na zespolonych z macierzą Ziemiach Zachodnich. Wszyscy Polacy, którym droga jest przyszłość własnego narodu rozumieją, że obrona i umacnianie granicy na Odrze i Nysie jest obowiązkiem narodowym. Ta granica zwracając Polskę oderwaną od niej ziemię pozwala jej dziś rozbudować kraj, a światu daje wkojmy pokój i przyjaźni między narodem polskim i niemieckim.

Powszechna i mocna jest w społeczeństwie polskim wola obrony Ziemi Odzyskanych. Dlatego więc gdy w starym Wrocławiu zbiorą się delegaci na Kongresie Ziemi Odzyskanych, przemówią oni w imieniu całego narodu. Będziemy wszyscy wsłuchiwać się w głos płynący z Wrocławia i chcemy aby był on słyszany i na zachodzie Europy i za Oceanem. Da on bowiem świadectwo jednoci narodu zespolonego w woli obrony swoich praw, w woli obrony dobra Polski i pokoju świata.

Perspektywy rozwojowe Frontu Narodowego

kres realizacji postulatów światopoglądowych i kulturalnych we Froncie Narodowym nie można się z marksistami umówić. O zakresie tym decydują nie rozmowy, ale wkład w realizację zadań wspólnego dla marksistów i katolików własnego obozu. Tym własnym obozem dla Polaków jest jednakże tylko Front Narodowy, opierający się na ogłoszonej i wyraźnej decyzji. Niech się więc nie dziwi ten, kto odczuwa powiązania z obozem wójennym prokapitalistycznym, że nie będzie miał wpływu na realizację postulatów katolickich w rodzimym polskim obozie Frontu Narodowego.

ZAGADNIENIE POMAGANIA MARKSISTOM

Słuszną jest rzeczą ze stanowiska katolickiego pomagać marksistom w tym zakresie, w jakim reprezentują oni interesy narodowe i interes postępu całej ludzkości. Słuszną, gdyż postawa katolicka wyraża się między innymi w służebności każdej słusznej sprawie. Tutaj jednak pada argument naszych przeciwników walczących z nami w społeczności katolickiej. Wzmocniając oboz kierowany przez marksistów wzmocnienie zespół kierowniczy, który uważa za jedno ze swych zadań ideologicznych wyzwolenie ludzi z „zabobonu” religijnego. To pozornie słuszne rozumowanie jest jednakże niezwykle perfidne. W jaki sposób marksisti zamierzają wyzwolić wierzących od wyznawanych przez nich przekonań religijnych. Odpowiedź marksizmu jest niesłychanie prosta i szczerą. Zmiana ustroju społeczno-gospodarczego spowoduje w konsekwencji obumarcie „przeżytków” ideologicznych, które są do pomysłenia tylko na bazie ustroju kapitalistycznego czy feudalnego. Dla nas, katolików, religia jest transcendentna w stosunku do historii i jej poszczególnych ewolucyjnych ogniw. Dlatego w tej dziedzinie nie podzielimy i nie obawiamy się przewidywać marksizmu. Można natomiast z dużą słusnością powiedzieć, że to nie troska o religię nakazuje przeszkadzać różnym czynnikom we współpracy katolików i marksistów dla słusznej sprawy, ale troska o stary kapitalistyczny czy feudalny świat, z którym może tak myślący katolicy nie wiążą integralnie religii katolickiej, ale bez którego w każdym razie nie są w stanie jej trwania i misji sobie wyobrazić. Głęboki optymizm tkwiący w podstawach naszej religii, każe nam uznać za nieдорęczność pogląd konserwatywnych kół katolickich, według którego Boga można wielbić tylko w ustroju społecznie niesprawiedliwym, a cywilizacyjnie wstecznym. Oczywiście, że istnieje zasadnicze zagadnienie, by ustawa o wolności sumienia, będąca gwarancją Państwa Ludowego dla swobód wyznaniowych, była stosowana nie tylko teraz, ale i w przyszłości w sposób jak najbardziej bezstronny i obiektywny. Troskę jednak o tę sprawę, jak to już zostało wykazane, można realizować dla słusznych przyczyn tylko z jednej pozycji — wewnątrz Frontu Narodowego.

ZAGADNIENIE AKCEPTACJI BŁĘDÓW

Przed wszystkim, jeśli mowa o błędach Polskiej Demokracji Ludowej w ciągu ośmiu lat jej istnienia, to trzeba stwierdzić, że mówimy tylko o jednej stronie bilansu. Trzeba jednocześnie — i tylko wtedy można mówić o błędach — jasno stwierdzić, że całość tego bilansu jest dla teraźniejszości i przyszłości narodu niezwykle dodatnia, niespotykana dodatnia w historii Polski. Dowody słusności tej tezy są zawarte w odezwie Ogólnopolskiej

Komitetu Frontu Narodowego. Równie przekonującym dowodem jest fakt, że nie tylko obóz rządzący w Polsce, ale cały światowy obóz pokój jest w ciągłej, pełnej sukcesów ofensywie. W tej skali mówiąc o błędach popełnionych w Polsce w latach 1944 — 1952, trzeba dalej stwierdzić, że obóz rządzący wiele z tych błędów sam spostrzegł, wiele spostrzega, wydawał im i wydaje bezwzględnie walkę. Znowu odnośne fragmenty odezwy Frontu Narodowego są tu dowodem. Trzeba dalej stwierdzić, że wiele błędów rzeczywistości polskiej wynika stąd, że mamy za mało ludzi do wielości i wielkości zadań, że ludzie ci dopiero znaleźli warunki, w których mogą rosnąć i dojrzewać. Trzeba wreszcie powiedzieć, że błędy popełnione w Polsce Ludowej, są w ogromnej większości brakami, za które odpowiedzialność ponosimy wszyscy i że jest niezbędne ciągłe pogłębianie zaufania w szeregach Frontu Narodowego, abyśmy wszyscy mogli się przyczynić do usuwania tych braków. Dopiero wtedy pozostaną zagadnienia, w stosunku do których nie ma wspólnej oceny między marksistami i katolikami z przyczyn filozoficznych. Tych różnic nie mają ani możliwości, ani potrzeby zacierać we wzajemnych stosunkach marksistów i katolików. Wielkość założeń Frontu Narodowego polega między innymi na tym, aby dyskusje na temat, co jest filozoficznym błędem i jaki jest zakres jego konsekwencji nie przeszkadzały obowiązkowi wspólnej niecierpiącej zwłoki budowie lepszej przyszłości Polski i wkładu naszego narodu w postęp całej ludzkości.

ZAGADNIENIA TRUDNOŚCI TERENOWYCH

Kto stoi w sposób świadomy na płaszczyźnie założeń ideowo-politycznych Frontu Narodowego, ten ma podstawy moralne do współgospodarzenia na odcinku, do którego uprawnia go posiadana kompetencja. Katolicy uczestnicząc w poszczególnych ogniwach Frontu Narodowego aż do najbardziej wąskich w terytorialnym zakresie, muszą zajmować postawę współodpowiedzialności za całość zagadnień narodowych i państwowych danej jednostki terytorial-

Dokończenie ze str. 1

nej. Wąskie czasem perspektywy wladz terenowych nie oprą się realizowaniu odpowiedzialności katolików i marksistów za wspólną sprawę. Stosowana dotychczas przez katolików duchownych i świeckich metoda interwencji u władz centralnych musi być oparta o kontakt terenowy z władzami lokalnymi, wynikający z poczucia odpowiedzialności za całość zagadnień. Dopiero z tej pozycji możemy załatwiać sprawy wyznaniowe, za które jesteśmy odpowiedzialni jako katolicy. Członkowie Frontu Narodowego na wszystkich jego ogniwach muszą się przyzwyczaić do mówienia „my”. To „my” wtedy będzie miało pełne pokrycie i skuteczność, o ile będzie wynikało z poczucia odpowiedzialności za całość zadań Frontu Narodowego na danym jego odcinku.

JAKI jest rezultat tych rozważań. Wynikają z nich jasno dwie tezy. Po pierwsze: służba podstawowym interesom narodu nakazuje pełny aktywny udział katolików we Froncie Narodowym. Po drugie: rozumując w kategoriach doczesnych tylko ci katolicy budują perspektywę dla swego światopoglądu w Polsce Ludowej, których świadomość ideowo-polityczna mieści się w ideologii Frontu Narodowego. Pytamy, kto może pozostać głuchym wobec tych stwierdzeń. Niewątpliwie ludzie czekający na trzecią wojnę światową, czekający na jej wynik, który w myśl samobójczych wyliczeń ma obrócić w gruzy dorobek oświatowy, kulturalny i gospodarczy Polski Ludowej. Ludzi tych nie wahamy się nazwać po imieniu, są oni świadomymi lub nieświadomymi wrogami sprawy polskiej i sprawy postępu ludzkości.

Katolicy, biorący udział we Froncie Narodowym, przedstawiają szeroki wachlarz poglądów. Są tacy, którzy uznają za program swej pracy socjalistyczne założenia społeczno-gospodarcze. Są też tacy, którzy mówią: jesteśmy we Froncie Narodowym, ponieważ służy on nadrzędnym potrzebom Ojczyzny, mimo to, że Polska staje się krajem socjali-

stycznym. Obie postawy są wartościowe dla sprawy polskiej i sprawy pokoju na świecie, obie są wyrazem pozytywnych procesów przebiegających w świadomości ideowo-politycznej narodu.

Szeroki w założeniu zakres Frontu Narodowego, konkretność i wielkość ideowo-politycznych celów tego Frontu stwarza warunki do oparcia na szacunku dla posiadanych przekonań współistnienia poglądów religijnego i areligijnego wśród członków Frontu. Nie trzeba jednak zapominać, że Front Narodowy jest organizacją walczącą, która musi być i będzie atakowana przez wrogów. Wszystkie środki działania, wszelkie sposoby wygrywania wahań czy polowicznych decyzji, jakimi dysponuje wojenna propaganda polityków amerykańskich i neohitlerowskich będą użyte dla prób hamowania dynamiki Frontu Narodowego. Wystarczy tu przytoczyć dobrze nam znany przykład. Porozumienie między Kościołem a Państwem z dnia 14 kwietnia 1950 roku było jednym z ważnych aktów, tworzących warunki dla powstania Frontu Narodowego w Polsce. Niewątpliwie pełna realizacja Porozumienia pozostaje ciągle zadaniem, ale oczywistym jest dla każdego ile przyniosło ono korzyści wspólnej sprawie wszystkich wierzących i niewierzących Polaków — sprawie pokoju wewnętrznego. Warto jednak przypomnieć sobie jak Porozumienie było atakowane przez wroga ośrodki zagraniczne, jak wielki był idący z obcych źródeł szantaż polityczny w stosunku do katolików polskich, aby z Porozumienia uczynić fikcję. Tym niemniej Porozumienie było i pozostało wytyczną dla regulowania stosunków kościelno-państwowych w Polsce Ludowej. Odezwą wyborczą Frontu Narodowego określa zaś wyraźnie i trafnie tło ideowo-polityczne, na którym Porozumienie może, powinno i będzie realizowane.

DO klasycznych należy w słownictwie katolickim zdanie, że waga naszego postępowania dlatego jest tak doskonała, ponieważ żyje się tylko raz. Myśl ta posiada także swoje odniesienie społeczne. Współcześni Polacy będą osądzeni przez historię według odpowiedzi, którą właśnie teraz pogłębiają mi-

lioni ludzi w Polsce, czy idą za interesem narodu, czy ten interes przez złą wolę lub brak świadomości lekceważą. W tym znaczeniu nie tylko nasza decyzja wzięcia aktywnego udziału we Froncie Narodowym ma znaczenie, ale wielkiej wagi jest decyzja każdego jeszcze dotychczas niedostatecznie przekonanego i uświadomionego Polaka.

Dlatego, poczynając od odcinka za który ponosimy światopoglądową odpowiedzialność, musimy wykazywać wysoką i moralnie karygodną niestosowność odrywania przez jakiegokolwiek katolika moralności od konkretnego społecznego, uciekania przed odpowiedzialnością społeczną pod pozorem zachowania czystych rąk. Katolicy powinni być zawsze tam, gdzie pulsuje i tworzy się w wysiłku pracy i myśli prawdziwe życie narodu. Nikt zaś myślący uczciwie nie może nie przyznać tej oczywistej prawdy, że prawdziwe życie narodu wypełnia dokonaniem, ofiarnym wysiłkiem i wielkimi perspektywami ramy Frontu Narodowego. Dlatego musimy umieć wytlumaczyć ludziom wygodnym spośród katolików, że taktyka przeczekiwania burzy dziejowej po ośmiu latach nie jest wyrazem rozsądku, ale przejawem małoduszności, że narażając się dla słusznej sprawy narodowej można zyskać sojuszników, zaś usiłując nie narażać się nikomu i dla żadnej sprawy na pewno nie zyska się przyjaciół, a straci szacunek u wszystkich.

Dlatego Ogólnopolska Komisja Intelktualistów i Działaczy Katolickich przy PKOP, jako jedno z ważnych ogniw Frontu Narodowego, Komisja, której nazwisko Przewodniczącego księdza Dziekana Czuja znajduje się pod odezwą Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego, której Wiceprzewodniczącym ksiądz Profesor Dąbrowski reprezentował głos katolików na Ogólnopolskiej naradzie Frontu Narodowego w Radzie Państwa dnia 30 sierpnia r.b. Komisja ta wzywa zarówno w nadchodzącej kampanii wyborczej jak i w obliczu ważnych dla przyszłości naszego narodu wydarzeń do jednoczenia się wszystkich Polaków na płaszczyźnie programu Frontu Narodowego.

Bolesław Piasecki

Ogólnopolska Konferencja Intelktualistów i Działaczy Katolickich

Staraniem Komisji Intelktualistów i Działaczy Katolickich przy PKOP odbyła się w dniu 9 września b.r. w Warszawie konferencja, która skupiła przedstawicieli najszerszego wachlarza środowisk katolickich w Polsce. Obradom przewodniczył ks. dziekan dr Jan Czuja, a referat poświęcony wytyczeniu zadań, stojących przed katolikami polskimi w okresie kampanii wyborczej prowadzonej pod hasłem jednoczenia się we Froncie Narodowym wygłosił redaktor *Bolesław Piasecki*.

Zarówno referat jak i dyskusja, która się po nim wywiązała odbiegały swym klimatem i treścią od przeciętnego szablonu uroczystych, deklaracyjnych zgromadzeń. Można śmiało dziś orzec, że w ciągu swej dwuletniej działalności Komisja Intelktualistów i Działaczy Katolickich wytworzyła własny, niestereotypowy styl pracy, który — jak pisał niedawno w „Słowie Powszechnym” Andrzej Micewski — „nie zatracając swego ostrza politycznego odpowiada światopoglądowemu stylowi katolików”.

W większości wypowiedzi nie mieliśmy już do czynienia z opacznym mieszaniną zagadnień religijnych z politycznymi, a miejsce oderwanych od konkretnej sytuacji wywodów za język rzeczowe głosy nacechowane szczerością i poczuciem społecznej współodpowiedzialności.

Wydało się także, że przy wspólnym stole obrad nigdy jeszcze dotąd

nie widziało się tylu katolickich środowisk jednocześnie reprezentowanych. Obok licznych przedstawicieli Wydziału Teologii Uniwersytetu Warszawskiego zasiędl profesorowie KUL z ks. rektorem *Iwanickim*, dziekan Wydziału Teologii Uniwersytetu Jagiellońskiego ks. dr *Kruszyński*, redaktorzy „Tygodnika Powszechnego” i „Znak”, prof. *Stefania Skwarczyńska*, prezes zrzeszenia „Caritas” — ks. *Lemparty*, prof. *Sajdak*, *Jan Dobraczyński*, pisarze i publicyści Stowarzyszenia Pax i wielu, wielu innych duchownych i świeckich działaczy katolickich przybyłych na Konferencję ze wszystkich stron Polski.

Referat programowy *Bolesława Piaseckiego* miał być przede wszystkim odpowiedzią na pytanie o i k o g o reprezentują katolicy we Froncie Narodowym. Po wstępnym ustaleniu, że Front Narodowy nie jest bynajmniej jakąś ogólną wypadkową różnych poglądów, nie jest krótkotrwałym kompromisem klecionym ad usum kampanii przedwyborczej — referat przypominał podstawowe założenia narodowej racji stanu, o których realizację toczy się surowa, trudna walka. Naczelną nutą przewijającą się przez całe przemówienie redaktora *Piaseckiego* była teza o niedopuszczalności „odpłatnego” traktowania przez katolików ich udziału we Froncie Narodowym, który

jest nieodpartą konsekwencją patriotycznej odpowiedzialności.

Przemawiający jako pierwszy w dyskusji nad referatem *Bolesława Piaseckiego* ks. kanonik *Sidor* poddał surowej analizie zjawisko potęgującego się nurtu rewizjonistycznego i odwetowego w Niemczech zachodnich. Nawiązując do tej wypowiedzi ks. kanonik *Piskorz* z Wrocławia apelował o poszerzenie dotychczasowej aktywności obywatelskiej duchownych i świeckich działaczy katolickich. „Miejsce katolika nie jest miejscem obserwatora” — stwierdził mówca, kreśląc przed słuchaczami obraz możliwości praktycznego oddziaływania na podnoszenie świadomości politycznej wierzących obywateli.

Ks. prałat *Kotula*, także wrocławianin, mówił o sprawach znanych mu najlepiej z bezpośredniego, konkretnego doświadczenia: o osiągnięciach władzy ludowej w dziele repolonizacji Ziemi Zachodnich.

Jan Dobraczyński z właściwą sobie pisarską swadą przeciwstawił bezdusznej postawie konformistycznej — postawie „katolickiego autentyzmu” w walce o cele Frontu Narodowego. „W ruchu Obródców Pokoju, we Froncie Narodowym, katolicy o tyle są warci i przydatni — o ile są sobą” — wołał autor „Listów Nikodema”. To stwierdzenie posłużyło mówcy za punkt wyjścia do

szczegółowych rozważań dotyczących palących potrzeb twórczości kulturalnej katolików w Polsce.

Także przedstawiciel redakcji „Tygodnika Powszechnego” *Jacek Woźniakowski* zajął się obszernie problemami twórczości kulturalnej i jej perspektyw w aktualnej sytuacji obrony pokoju wewnętrznego i gotowości narodu stojącego w obliczu potęgowania się rewizjonizmu zachodnio-niemieckiego.

Ks. prof. *Szymeczko* z Krakowa wskazał na konieczność syntetycznego opracowania dotychczasowych konkluzji społeczno-gospodarczych publicystów „Pax u”. Zdaniem mówcy udział katolików we Froncie Narodowym, który jest także walką o ustrojową odnowę Rzeczypospolitej wtedy dopiero będzie pełny, jeżeli wesprze go zgodna z naszym światopoglądem, świadoma ocena kierunku przemian społecznych i ekonomicznych w Polsce.

Następni mówcy t.j. prof. *Sajdak* z Poznania, ks. kanonik *Banach* z Opola, ks. prof. dr *Huet* z Warszawy, *H. Bocheński* i ks. dziekan dr *Kruszyński* w swych wypowiedziach niejednokrotnie kładli silny nacisk na problem światopoglądowego pluralizmu Frontu Narodowego.

Przy końcu obrad ks. prałat *Kotula* odczytał projekt rezolucji, która została następnie uchwalona przez wszystkich obecnych uczestników Konferencji.

M.R.

Halina PANFIŁOWICZ

Wiersze

Otrząsa się z mroków lato —
teraz nie dzieli nas żaden graniczny stęp —
tylko drogom gwiazdzistym i kwiatom
dano troski wędrownych stóp.

W zapachu mlecznego szlaku
rozwiązany wodospad — dym
chodź
zobaczysz śpiący przecinek
łatkę na wiotkich paluszkach trzciny.

Nie wszyscy widzą w nocy kwiaty świecące wypukło —
palce zwinęte w granat grożą nam tyle lat —
ludzie, zwierzęta, mosty leżą na ziemi smukło —
ptaki nie chcą jeść chleba, który przynosi wiatr.

Gotowi, wsparci o nocy ponton —
bezpieczni pod strażą świerszczy —
Czekamy!
aż na linii horyzontu błysną płomienie wierszy.

Wypetżyły na stronie szyby
chmur kosmate pająki —
nad wodą niebo jak ramiona podane
dninom rozłąki —

Z trzaskiem o dzidy szuwarów
tnie się miedź fali wprost z dna
tutaj
krzyk ptaka
w tęsknotę przeobraża wiatr.

W ciemność, w ciemność
flet wierzby dogasa —
gwiazdom rzeźbi rzęsy
dłoń Fidasza.

Malbork

Niebo gwiazdami pocięte jak mapa
kwitnie złoty nurt —
noc ku rzece zdążyła na kocich łapach
obok baszt podobnych do gór.

Zamek — klepsydra historii
musuje niepokojem —
jak cmy szeleszczą, koluja
cyfry lat pogańskich
niepodobnych sobie
nie swoich.

Blaski okien ciemność muskają
kolorowym szalem —
pycha i gniew —
i pokora
pod wspólnym tchnieniem bluszczy —

Ramiona fosy obejmują cały świat prawie.

Miłość

Wyrasta niespodzianie
w ogromne systemy przeżyć —
w oddali szum burzy słyszę —
całującej usta wybrzeży —

A tu światy zamknięte
i drzewa strzeliste — najprościej
i znów się jest echem ciszy
i gwiazdą nieskończoności.

Zygmunt LICHNIAK

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (28)

DOKUMENT CZASU

LITERATURA powojenna w Polsce dokonuje wielkiego dzieła artystycznej nobilitacji zwykłych, codziennych faktów. W piśmiennictwie każdej epoki i każdego kraju znamy pisarzy czy utwory, o których się mówi, że „czerpią z życia”, „ukazują szarego człowieka”, „są odbiciem normalnych spraw”. Każde prawdziwe dzieło sztuki musi zyskiwać na takie określenie. Ale dawniej nie był to u wszystkich artystów zabieg świadomy, nie było to poznawcze dążenie do zbadania rzeczywistości, lecz naturalistyczny często fotografizm, przypadkowa opisowość lub pesymistyczne babrzenie się w brzydkich detalach. Dzisiaj nobilitowanie faktów codziennego życia, podnoszenie ich do rangi artystycznych uogólnień wiedzy o rzeczywistości jest zjawiskiem i bardziej powszechnym i głębiej przepojonym pasją zarówno rozumienia jak i zmiany niania rzeczywistości.

Zjawisko to tłumaczy się uintensywnieniem ideologicznych napięć i ambicji sztuki związanej z epoką, która jest epoką wielkich przeobrażeń, wielkich ruchów ideowych i wielkiego wzrostu udziału świadomości ludzkiej w ogólnych procesach historycznych. Ta pogłębiona postawa ideowa wobec otaczającego życia przede wszystkim literaturę — jako najczulszą dziedzinę sztuki — obarczyła obowiązkiem baczniejszego niż kiedykolwiek respektu dla artystycznej wymowy i społecznej funkcji przedstawiania tzw. faktów dnia codziennego.

Jednym z wtórnych przejawów tego procesu jest poszerzanie się i pogłębianie nurtu faktograficznego w powojennej literaturze polskiej.

Ten faktografizm współczesny nie ma nic wspólnego z naturalistycznym faktografizmem, nie ma nic wspólnego z bezelekcijnym, amorficznym cysem przypadkowej sumy detali, jest bowiem wynikiem określonego widzenia rzeczywistości i wektorem określonego dążenia do przemiany wzajemnego układu sił historycznych. Faktografizm w literaturze współczesnej różni się od wszelkich odmian naturalizmu samą zasadą organizowania relacji o faktach. Nie jest ona beznamiętnym kalkowaniem fragmentów rzeczywistości, nie jest bezideowym konstatacyjnym tylko o. pisywaniem obrazu świata, jest pełną twórczą i rewolucyjną żarliwością walką o prawidłowe ukazanie sił historycznych, jest ideologicznym hierarchizowaniem wartości, zamierzających lub odradzających się w ciągłej dialektyce historycznych przemian. Tak rozumiany faktografizm różni się od innych form literatury współczesnej większym ładunkiem najczęściej autopsyjnych elementów reportażowo-pamiętnikarskich, mniejszym rygiorem wewnętrznej więzi fabularnej czy kompozycyjnej, luźniejszym zawężaniem konstrukcji, bezpośrednim komentarzem, nikieljszym zdobnictwem artystycznym, wyraźniejszą siatką chronologiczno-środowiskowych uwarunkowań.

Rola utworów faktograficznych polega przede wszystkim na literackim przekazywaniu konkretnej wiedzy o historii, zawartej w opisie losu ludzkiego, polega na zbogaceniu skarbcza literatury pięknej wymownymi dokumentami dziejącego się przełomu, polega wreszcie na inspirowaniu twórczych przemyśleń i twórczych zamierzeń artystycznych, zawartych potencjalnie w dziele faktograficznym.

Po wojnie otrzymaliśmy już kilka utworów faktograficznych o wysokiej wartości. Na pierwsze miejsce wysunął się dwutomowy pamiętnik Lucjana Rudnickiego „Stare i nowe”. Odznaczony nagrodą państwową pierwszego stopnia stał się wzorem



Albin Bobruk

głęboko przemyślanej relacji o faktach, których sens przekracza miarę określenia indywidualnego losu ludzkiego a staje się obrazem i drogowskazem walki wyzwoleniczej i dążeń rewolucyjnych całej klasy. Lucjan Rudnicki opisując swoje życie opisał wielki szmat historii walk polskiej klasy robotniczej. Podobne w zamierzeniu choć różne w skali talentu i zasadzie jak też kierunku obserwacji dzieło dał nam Józef Pogon stając się kronikarzem historii walki małorolnych chłopów o sprawiedliwość społeczną. Literatura faktograficzna zbliżyła nas także i do zawiązań w słowie pisarskim prawdę o ebozach koncentracyjnych, walkach partyzanckich, o całej złożonej rzeczywistości wojennej. Zapisywały się w niej nazwiska autorów unioslibelli, zbogaciły panoramę naszej literatury relacje pamiętnikarskie, kronikarskie czy wręcz biograficzne.

Na czoło tej literatury faktograficznej wysunęła się ostatnio obok książki Lucjana Rudnickiego pt. „Stare i nowe” książka Albina Bobruka pt. „Matka i syn”. Książka ta zdobyła w roku 1951 pierwszą nagrodę na konkursie Polskiego Radia i Państwowego Instytutu Wydawniczego na wspomnienia robotników. W rok później przyznano jej nagrodę państwową trzeciego stopnia. Chociaż Albin Bobruk nie jest „z zawodu” pisarzem i nie wiadomo czy będzie się piórem jako literat trudził, na wyróżnienie tak zaszczytne w pełni zasługuje. Książka jest warta nagrody.

Czym jest ta książka? Najogólniej określiłby ją można jako opowieść pamiętnikarską o życiu, walce i zwycięstwie syna wyrobników, który trudną i piękną drogą doszedł do stanowiska dyrektora departamentu Ministerstwa Rolnictwa w Polsce Ludowej.

Albin Bobruk opisuje swoje dzieciństwo pełne nędzy i poszukiwania pracy. Był pastuchem, był młodym fornałem, wreszcie terminatorem. Wraz z całą swoją rodziną przemie- rał głodem. Gdy dojrzał wewnętrznie i gdy odnalazł bez tytułu swoje miejsce w obozie lewicy, zaczęła się smutna odyseja po sanacyjnych więzieniach. Praca partyjna i ciągła troska o chleb wypełniały wszystkie dni. Wybuch drugiej wojny i sytuacja tragicznego bezholowia dyktuje

jednoznaczny u niego decyzję: przejście na tereny ZSRR. Pobyt w Kraju Rad jest szkołą ideologiczną. Bobruk wraca do kraju własnego. Jedzie na Ziemię Odzyskaną, rzuca się w wir pracy organizacyjnej, wchodzi do czołówki budowniczych Polski Ludowej.

Tak brutalnie zlapidaryzowany w zbyt esencjonalnym streszczeniu opis drogi i walki życiowej autora jednego z najciekawszych pamiętników nie jest, naturalnie, niczym innym, jak ukazaniem ogólnych tylko ram narracji opowieściowej, ukazuje tylko szkicowo rozmiary i poszczególne stadia dokonywanej się na kartach ludzkich wspomnień prawdy o przełomie w życiu człowieka, o jego trudnym i pięknym awansie społecznym.

Albin Bobruk w ramach swojej opowieści zawarł wielkie bogactwo tragicznych faktów poniżania człowieka przez stosunki społeczno-gospodarcze Polski przedwrześniowej, rozto- czył wielkie bogactwo faktów radosnych rehabilitowania człowieka przez ustrój społeczny równości i sprawiedliwości. Każdemu z przedstawionych faktów dał w książce siłę i prawdę własnego przeżycia, przepoił bezpo- średniością swojego udziału, wzmocnił wyrazistością relacji „naczonego świadka”.

Chociaż relacja o faktach utrzymana jest w pierwszej osobie, chociaż fakty mówią o jednym, indywidualnym losie ludzkim i chociaż nie we wszystkich swoich zawężeniach czy rozstrzygnięciach życie narratora rozwijające się przed nami w barwnym filmie wspomnień może być uznane za powszechnie typowe — to jednak ogólna prawda tego losu, ogólna linia jego rozwoju jest jednocześnie potencjalnym symbolem losów całej klasy, czy jej przodującej warstwy. Pamiętnik Bobruka jest pamiętnikiem robotników polskich.

OKREŚLENIE książki pt. „Matka i syn” jako opowieści o jednym życiu — niewystarczy. Książka Bobruka jest jednocześnie — i to przede wszystkim — dokumentem czasu przezwyciężonego. Wpisana w tok relacji o życiu syna wyrobniczej rodziny prawda historyczna narzuca się jako dokumentalne stwierdzenie obalenia fałszywego ustroju, który jednym dawał pałace, a drugich wypędzał na skopane kartoflisko, by — zagrożeni śmiercią głodową — szukali resztek przemarzłych ziemniaków.

Wymowa historyczna dokumentu Bobruka jest wstrząsająca. Naga prawda bolesnych faktów przemawia z kart książki jako niezbite, będące jednocześnie wyrokiem, oskarżeniem sanacji i kapitalizmu. Ten oskarżający dokument musi przejść do historii, bo mówi prawdę o historii.

Nie jest to jednak tylko dokument czasu przezwyciężonego. Jest to także zapis czasu zwyciężającego, relacja o powstawaniu w Polsce epki zwycięskiego ustroju społeczno-gospodarczego. Ostatnie partie książki mówią już o dniach dokonującej się u nas po drugiej wojnie światowej rewolucji socjalnej.

Sens historyczny tych partii jest również jednoznaczny i zrozumiały: przemiana losu narratora, jego wielki awans stanowi symptom przemiany ogólnej, przemiany powszechnej. Uzasadnienie logiczne i historyczne indywidualnego awansu narratora

*) Albin Bobruk: „Matka i syn” PIW, W-wa 1952, str. 225, z cyklu „Wspomnienia robotnicze”.

Paula ALEXANDROWICZ

SZEMRAJOWA

Akcja drukowanego niżej opowiadania rozgrywa się zaraz po wojnie. Okoliczność ta w pełni uzasadnia prymitywne warunki panujące w szpitalu, w którym leży Szemrajowa. Red.

Po skończonym obchodzie, Szemrajowa mówiła dalej.

— Przeszukałam całą chatę, córki zajrzały w każdy kąt. Przepadł jak kamień w wodę.

Garncarz uniosła się nieco na łokciu i swoim nieznośnie biadolącym głosem, zauważyła: — Trzeba było pomodlić się do świętego Antoniego.

— Modliłam się, modliłam. Nic nie pomogło.

Milczały chwilę. Korytarzem przeszły czyjeś człapiące kroki. Słychać było dokładanie węgla do pieca. Z trzeciego łóżka, wypełniającego szalenie małą przestrzeń sali, dobiegł bezbarwny jęk. Garncarz zerknęła bojaźliwie w tę stronę.

— Pani, a tej kobiecie co jest?

— Doktory jak to doktory, prawdy nie powiedzą, ale któraś salowa mówiła, że będzie rak.

— Chryste — przeżegnała się Garncarz. — Pani, a czemu ona tak patrzy, że aż mnie w środku ścisła. Mówią, że rak nocą wychodzi z człowieka i drugiego co śpi najbliżej, chorobą zaraża.

— Głupota — zaśmiała się Szemrajowa. Chciała coś jeszcze dodać, ale chwycił ją atak kaszlu. Początkowo męczyła się na leżąc, wreszcie zanosząc się, siadła na łóżku. Twarz jej z kremowej, nabrała pomidorowej czerwieni, na czoło wystąpił pot. Kaszel to suchy, to cnaręczący, miotał nią po pościeli. Usiłowała spluwać do małej buteleczki. Gęsta plwocina nie zawsze trafiała w otwór naczynia.

Garncarz widziała jak w niespełna pięć minut, schludna postać Szemrajowej, przemieniła się w rozkudlaną babę.

— Chryste — szepnęła znowu i już chciała żałować sąsiadki, gdy nagły ból lewej nerki wykrzywił jej bezżelne usta. Nie mogła wymówić słowa.

Przez wąskie okno wpadło ostre, marcowe słońce. W blasku końskie rysy Garncarz ujawniły się z całą bezwzględnością. Szemraj patrząc na nią, wspomniła gniadą kobyłę z własnej zagrody. Czując się już lepiej, zaczęła:

— Tę panią Goraczewską ja tu już zastałam, a leżę drugi miesiąc. Całkiem inna wtedy była. Do łazienki sama chodziła, gadała, a teraz aby śpi i czasami plecie od rzeczy.

— Musi bogata jest — powiedziała z namysłem Garncarz, taksując w myśli kolorowy pled, okrywający łóżko. — A i z twarzy widać, że nie prosta kobieta.

— Synowie jej codziennie pomarańcze przynoszą. Obaj w garniturach. Ubrani jak się patrzy. Lepsza rodzina.

— Ano — przyświadczyła jęklonie Garncarz — ale i biednego i bogatego śmierć w końcu weźmie.

— Co tam śmierć. I los różny jednemu przypadnie. Pomyśl pani, dwadzieścia pięć lat mój stary był owczarzem u dziedzica, a teraz własną ziemię mamy.

— Syna pani nie ma?

— Był, ale mu się pomarło. Wnućków mam czworo, a piąty w drodze. Dziś, jutro powinna się Anielka rozsytać. Pomyśl pani, siedzę tu jak w więzieniu, a tam moją najmłodszą rodzi. Nie bojam się o nią, mocna jest dziewczucha, ale serce matki zawsze niespokojne.

Weszła siostra Jadwiga. — Szemraj i Garncarz na prześwietleniu! Prędko! Doktor czasu nie ma!

Szemrajowa wsunęła czarne buty i założyła rudy, zakładowy szlafrok. Drobnym krokiem doszła do Garncarz, która wykrzywna trzymała się za bok.

— Przeżażę pani z tym swoim „o rety” — zgromiła. — Chwyć się, pani mnie, jakoś zajdziemy.

Obie wysokie, chude, o wysuszonych, obwisłych piersiach, zapadłych brzuchach, siwych włosach, trzymając się pod rękę, poszły korytarzem. Przed drzwiami Roentgena stało kilku mężczyzn z przyleg-

go oddziału płucnego. Na widok pacjentek, jeden z nich, którego żaden laik nie posądziłby o brak zdrowia, uśmiechnął się szeroko.

— Macie szczęście. Idźcie pierwszy. Dziś święto kobiet.

Garncarz nic nie rozumiała. Szemrajowa ciągnąc ją za sobą, odparła: — Dziękuję, dziękuję, ale wołałabym, żebyście byli ciszej wieczorami na korytarzu.

— Ej, babciu — odpowiedział wesoło mężczyzna — w tobie już woda, nie krew. A na mnie same kobiety lecą. Szpital to nie klasztor.

Gdy wróciły do sali, roznoszono obiad. Szemrajowa siorbiąc wypila barszcz, potem ze smakiem zjadła kartofle z kapustą. Miska kleiku i pieczone jabłko spoczywało nietknięte na szafce Goraczewskiej. Szemrajowa czekała długo. Nikt nie przyszedł. Wstała więc i podobnie jak to robiła od miesiąca, nakarmiła chorą. Goraczewska grymasiła. Kleik ciekł po brodzie. Szemrajowa klepała półgłosem. — A żeby cię cholera, jakie to durne babsko. Ady jedz, bo gorzej jak z dzieckiem.

Mimo tych słów, wyrażających jej prawdziwy gniew, łyżkę za łyżką cierpliwie i łagodnie wkładała w rozwarte, głodne usta.

Garncarz zasnęła. Jej drażniące chrapanie, pełne pogwizdów, jęków i mlaśnień, burzyło ciszę. Głośna rozmowa kilku osób, wyrwała ją z drzemki. Szemrajowa z płaczem mówiła prędko, tak prędko, że sensu uchwycić nie było można. Nad nią pochylony stał jakiś mężczyzna i nie słuchając kobiety, sam ją gorąco o czymś przekonywał. Siostra Jadwiga robiła zastrzyk dożylny Goraczewskiej i jej słowa „cicho już, cicho”, przeplatały się z wyrazami — Bandycki, złodzieje, rabusie! — wyrzucanymi z niespodziewaną siłą, przez bezwładną naogół pacjentkę.

Wreszcie Goraczewska zapadła w normalny stan drętwości. Syn wyszedł razem z pielęgniarką. Ledwo się drzwi za nimi zamknęły, Szemrajowa drząc jeszcze z oburzenia, powtórzyła jak to Goraczewska po

obiedzie zaczęła szukać w torebce, którą stale trzymała pod kołdrą, jak narobiła krzyku, że jej skradziono 500 złotych.

— Ażem się spłakała. Patrz pani, człowiek na starość o złodziejstwo był posądzony. Siostra nie dała jej wiary, choć pewną nie była, bo pieniądze sama wczoraj widziała. Szczęściem syn przyszedł i powiedział, że wieczorem zabrał. Siostra

Szemraj siadła na łóżku. — Dziękować Bogu i pani dziękuję za dobrą nowinę. Patrz pani Garncarz, jak się moja Anielka spisała.

— Zobacz pani, co mąż przysłał.

— Prawda. Zapomniałam. — Szczupłe, spracowane ręce rozwinęły papier. Garncarz ujrzała jak rozpogodzona wiadomością, twarz Szemrajowej zabłysła niby lusterko, gdy promień słońca na nie padnie.



mówiła, żeby się nie przejmować, bo to kleroza. Kleroza, czy inne pasudztwo, ale więcej jej palcem nie rusze. Niech zdechnie!

Podwieczorek i kolację Goraczewskiej zabrała salowa. — Nie chce jeść? — spytała. Szemrajowa burknęła — widać nie chce! A ponieważ było jej czegoś przykro, wykreśliła się plecami do drzwi.

Tuż przed gaszeniem światła, przyszła ponownie salowa. — Pani Szemraj! — niemal krzyknęła od progu. — Co jest? — niechętnie odezwała się tamta.

— Masz pani wnuczkę. Był tu wasz stary, ale doktor nie dał wejść. Mąż kazał powiedzieć, że masz pani wnuczkę, że wszystko w porządku i kazał pani oddać tę paczuszkę. Co tam jest, nie wiem. Mówił, że znalazł na strychu w grochowinach.

— Pani Garncarz — głos kobiety był szczęśliwy i zdumiony — mój różaniec, com go dwa lata szukała, i zgasiła światło.

W nocy obie kobiety obudził potworny łoskot. Coś zważyło się na podłogę, huknęła w ścianę silnie trącona szafka.

— Dobrzy ludzie ratujcie! — wrzasnęła Garncarz.

— Nie rób jeszcze pani hałasu! — rozłościła się Szemrajowa. — Serce mi wali, że dychać nie mogę.

Półmrok pozwalał dostrzec ciężkie ciało Goraczewskiej, leżące w dziwacznej pozycji na środku pokoju.

— Rety — nachyliła się z łóżka Garncarz. — Pewno umarła?!

— Nie umarła — odpowiedziała Szemrajowa. — Chciała na basen. Salowej się tu nie dowołasz. Zawsze mnie prosiła. A po dzisiejszym pewno się obraziła. Niech leży!

Garncarz jęknęła — ano, niech leży, jak nie ma kto zbierać.

Palce Szemrajowej zacisnęły się na różańcu. — Niech leży!, myślała uparczywie, tłumiąc wewnętrzne wezwanie „wstań, pomóż”. Niech leży!

— Tak do rana — dobiegło od łóżka Garncarz.

— Coś pani! — zachnęła się Szemrajowa. — Ady jej pomogę, je-no tchu muszę nabrać.

Zlazła z łóżka i przykłęka przy staruszce. — Pani Goraczewska, no, pani Goraczewska, złap mnie pani za szyję.

Chora zabelkotała — zaraz, zaraz.

Szemrajowa założyła jej rękę sobie na kark, drugą wsunęła pod bok Goraczewskiej i sapiąc dźwignęła na nogi. — Dwa kroki, pani Goraczewska. Aby dwa kroki. Idziemy.

Dla Goraczewskiej malutka przestrzeń stanowiła pięć kroków. Szurając bosymi stopami, wisząc całym ciężarem na chudej Szemrajowej, siadła w końcu na łóżku.

— Durna baba — miaukliwie stwierdziła Garncarz — strachu tylko i zgryzoty człowiekowi narobi.

— Tyle durna co pani, lub ja — odparła ksztusząc się w napływie kaszlu Szemrajowa. — Wszystkie jednako durne — dodała życzliwie w odpowiedzi na strwożone, „o rety”.

P.G.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Władysław Konopczyński

Zgon (13 lipca br.) śp. Władysława Konopczyńskiego, zubożył naukę polską o cenionego uczonego, autora kilkudziesięciu tomów monografii i kilkuset rozpraw historycznych, wydawcę źródeł, długoletniego profesora UJ.

Władysław Konopczyński urodził się 6 listopada 1880 w Warszawie, gdzie też ukończył gimnazjum Wojciecha Górskiego i wydział prawny uniwersytetu. Zamiłowania i nieprzećnięte zdolności do historii skłoniły go do dalszego studiowania i zupełnego poświęcenia się tej dziedzinie. Największy wpływ wywarł na niego w Warszawie — Tadeusz Korzon, za którego ucznia głównie się uważał i czcił jako mistrza. Przybranie sobie w ostatnich latach życia pseudonimu „Korzonek”, było jednym z wyrazów hołdu i pamięci o swym nauczycielu. Wyjazd na dalsze studia do Lwowa, zetknięcie Konopczyńskiego z Symonem Askenazym, który utwierdził jego predylekcje do badania dziejów nowożytnych i wysubtelnił metodę analizy źródeł. Liczne podróże naukowe za granicę i długoletnie prace w polskich i obcych archiwach, zwłaszcza w Szwecji i Niemczech, przyniosły nadszatkowane, często rewelacyjne plony. Toteż pierwsze osobno wydane dzieło Konopczyńskiego: „Polska w dobie wojny siedmioletniej” (duże 2 tomy. 1909, 1911), postawiło autora od razu w rzędzie najlepszych badaczy polskiej historii nowożytnej i otworzyło mu podwoje UJ, gdzie się habilitował, a w 1913 objął katedrę historii nowożytnej.

W przeszło 30-letniej działalności profesorskiej nie porzucił Konopczyński na wykładach i seminariach,

na nauczaniu historii, lecz rozwinał imponującą aktywność naukową.

Koncentrując swe zainteresowania badawcze na dziejach wieku XVII i XVIII, stał się Konopczyński największym u nas znawcą tej epoki, rzucił na nią wiele nowego światła, wydobyl liczne postacie, fakty i szczegóły, które ukazały nam nieznane dotąd lub znane niedokładnie oblicze najbardziej tragicznych momentów naszej historii. Zebrał i wydał spory tom rozproszonych swych studiów historycznych: „Mrok i świt” (1911), następnie „Geneza i ustanowienie Rady Nieustającej” (1917) (była pierwszą gruntowną książką z tego zakresu), wreszcie znakomite studium historyczno-porównawcze „Liberum veto” (1918), zwróciło na naszego badacza powszechną uwagę. Studium to wydał autor następnie w języku francuskim (Paryż 1930).

W okresie międzywojennym miał Konopczyński wreszcie możność zsumowania poszukiwań poczynionych w Szwecji i ogłoszenia poważnego i jedynego w tym zakresie dzieła: „Polska a Szwecja 1660—1795” (1924). Stosunkom między tymi oboma krajami poświęcił szereg rozpraw napisanych po szwedzku oraz monografię: „Karl XII och Polen” (Stockholm 1925). W uznaniu zasług na tym polu Szwedzka Akademia Nauk powołała go na członka. Był też członkiem szwedzkiego Tow. Nauk. w Lund oraz członkiem szwedzkiego Tow. Wydawania Źródeł do dziejów Skandynawii. Dzieje stosunków polsko-szwedzkich zobrażował również w popularnym ujęciu po angielsku: „Poland and Sweden” (1935).

Pomniejszymi szkieletami, drobiazgami i fraszkami historycznymi wypełnił tom zatytułowany „Od Sobieskiego do Kościuszki” (1921). Trzeci z kolei tom luźnych studiów objął szkice historyczno-polityczne pt. „Umarli mówią” (1929). W puściźnie pozostały jeszcze dwa duże przygotowane tomy rozproszonych „Szkiców historycznych”, drukowanych za życia autora w różnych czasopiśmie.

W r. 1926 ukazała się znana monografia Konopczyńskiego pt. „Stanisław Konarski”, w której wyraził zająsnością sylwetką wielkiego reformatora i patriotę. Niedługo czekał na drugą wielką monografię, również pierwszy pełny życiorys bohatera dwóch narodów Kazimierza Pułaskiego (1931), wydany później też w języku angielskim (1947).

W naukowej twórczości Konopczyńskiego rok 1936. W roku tym wyszły dwutomowe „Dzieje Polski nowożytnej”. Ukazał się zarys monograficzny: „Polska a Turcja 1683—1792”, oraz tom pierwszy obszernego dzieła „Konfederacja Barska” (tom drugi w 1938). Wreszcie w „Wielkiej historii powszechnej” Trzaski opracował prof. Konopczyński „Czasy absolutyzmu”, — w sumie około dwóch tysięcy stron druku, w znacznej części faktów i oświetleń zupełnie nowych, opartych na własnych badaniach i odkryciach.

Przed samą wojną już było złożone nowe dzieło Zmarłego, poświęcone metodologii: „Historyka”. Zniszczył je w zupełności okupant hitlerowski, zachowała się zaledwie odbitka korektowa. Konopczyński znalazł się wraz

z profesorami UJ w obozie w Sachsenhausen, ale i tam nie przestał, o ile tylko mógł, pracować naukowo, dając innym przykład wytrwałości i męstwa duchowego. Wspomnienia z obozu „Pod trypią główką”, ogłosił po wojnie w „Tygodniku Powszechnym”. W latach powojennych wyszły jeszcze dwie ważne książki Konopczyńskiego: „Fryderyk Wielki a Polska”, oraz „Kwestia bałtycka od X do XX wieku” (obie w 1947). Szybkie wyczerpanie nakładu świadczyło o ich potrzebie i wartości.

Do tego sumarycznego wyczerpania dodać należy kilkadziesiąt artykułów i recenzji, w których imponował głęboką erudycją, bystrością sądu, swadą polemiczną, jak również wielkim taktem. Osobny dział stanowią edycje tekstów źródłowych. Należą tu trzy tomy XVIII-wiecznych „Diariuszów sejmowych” (1911, 1912, 1935); należą też „Pamiętniki Stanisława Augusta Poniatowskiego 1732—1758” (1915, tom drugi przygotowany, nie wydany), dalej: „Z pamiętnika konfederatki ks. Teofilii Sapieżyńskiej” (1914), „Pamiętniki ks. Stanisława Lubomirskiego” (1925), oraz inne po mniejsze publikacje źródeł do Konfederacji barskiej (Bibl. Narod. nr 106). Pomijamy szereg popularnych zarysów np. „Dzieje parlamentaryzmu angielskiego” (1923), i inne.

Rzetelność i śmiałość naukowa profesora Konopczyńskiego, odpowiadała wielkiej prawości jego charakteru i postępowaniu w całym życiu. Przeszedł przez nie w żoźnej, nieustannej do samego końca pracy, uczynny i dobry, świadomy należytego spełnienia obowiązków.

Zenon SKIERSKI

SPOTKANIE Z KŁAMSTWEM

NIESTO jest to zwykła powieść, z akcją, intrygą i jakimś problemem. Formalnie rzecz biorąc nie jest ona nawet powieścią. *) Jest zaledwie częścią wielkiej powieści, której zakończenie znajduje się w „Radości życia” (La joie). Brak jej właściwie zakończenia i rozwiązania sprawy głównego bohatera. Rozdział pierwszy zawiera ogromne ilości komentarza psychologicznego, którego proporcje szczęśliwie zmniejszają się w następnych rozdziałach. „Zakłamanie” nie ma, czego się zwykle oczekuje od powieści, bogatej i różnorodnej akcji, nie ma dobrze przeprowadzonej intrygi. Przypuszczam, że można by jeszcze kilka takich „nie ma” wyliczyć, idąc metodą złych krytyków, którzy walczą zwykle z tym, czego w książce nie ma.

A mimo wszystko nie o to chodzi w „Zakłamaniu”. I dlatego nie można tej powieści potraktować na sposób sztamowych recenzji. Nie da się o niej napisać wzorem reklamowym dziesięciu pochwalnych linijek. Nie tylko! nie sposób nie mówić o „Zakłamaniu” i nie sposób o nim myśleć, tak dalece dzieło to nas niepokoi. W tej książce, z której każde streszczenie wyjdzie zdecydowanie płasko, materia literacka i problematyka tak są ze sobą splecione, że nie pozwala nam to zrobić z niej skrótu jakiejś anegdoty. To już wiele znaczy. Nie podobna bowiem opowiedzieć jakiegokolwiek trenu Jeremiasza, nie sposób streścić psalmu Dawida. Powieść Bernanosa wymyka się zaszeregowaniu formalnym. Ma rangę wartości, która przekracza zwykłe wymiary artystyczne. Bo i wymiary artystyczne „Zakłamania” nie są łatwe do określenia. Dramatyczność, jaką ta powieść w sobie zamyka nie ma nic wspólnego z dramatycznością dobrze zbudowanych powieści sensacyjnych, czy kryminalnych, które przeważnie są makulaturą.

Co nadaje jednak wartość nie-zwykłą tej książce i co przynosi nam ów niepokój, tak typowy zresztą dla innych dzieł Bernanosa? Podtekst moralno-filozoficzny, no i osobliwa dramatyczność (a więc jednak wartość artystyczna), skupiona w kilku postaciach, skonstruowanych w sposób drapieżny, niemal rozpaczliwy. Z tych względów nie

da się chyba napisać o „Zakłamaniu” zwykłej recenzji. Można pisać zaledwie o postaciach dzieła włączonych w wielkie problemy moralne.

Ksiądz kanonik Cénabre. Naukowiec, historyk. Píše piąty tom rozpraw o mistykach Kościoła. Życie jego skutkiem tego jest tak doskonale uregulowane, że na „sprawy kapłańskie pozostaje mu już niewiele czasu”. Dlatego też „zmuszony jest” odmówić na przyszłość spowiedzi biednemu Pernichonowi, gubiącemu się w subtelnych niepokojach mizernej duszy. Cénabre jeszcze w dzieciństwie postanowił zostać księdzem zrozumiawszy, że to jest jedyna droga jego kariery. Na wakacje nie chciał wracać do domu rodziców, gdyż wstydził się ich biedy, brudu, odoru ubóstwa. Wobec przełożonych wynajdywał różne kłamstwa, zapewne pobożne, aby go zostawili na okres ferii w seminarium. No, i zrobił karierę. Zyskał uznanie, zwolenników, i co ważne dla podtrzymania kariery zyskał również przeciwników. Był uważany za wyjątkową postać, wybijającą się.

A jako ksiądz? Tu właśnie wchodzimy w obszar pychy, tak zaatakowanej bezlitosnym piórem Bernanosa. „Wszystkie obowiązki swego stanu wypełniał z pozbawioną treści gorliwością, niezmiernie jednak dokładnie, ze wzmoczoną dostojnością, powagą, a nawet smutkiem, który mógł zmylić najbardziej przenikliwych”. Cénabre wie o sobie wszystko, lub prawie wszystko, tak mu się wydaje. Jest aktorem i zarazem obserwatorem samego siebie, własnym widzem. „Kiedy minęła owa noc kryzysu, w czasie której poczuł nagłe, że stracił wiarę i zasiadł przy biurku z rewolwerem przy skroni, kiedy atak już minął, wszystko pozornie wróciło do normy”. „Po kilkudniowym wahaniu wypowiedział teraz słowa konsekracji — tak przynajmniej sądził — nie, by się skrycie lubować w świętokradztwie, ale dlatego, że uważał za niegodne siebie oszukiwanie, choćby drobnymi pominięciami, tych starych kobiet, które w chwilę później miały ugiąć u Stołu Pańskiego”. Zatem uprawiał nadal dramat kłamstwa, szkolę budujących pozorów, zdegradowawszy się dozwolnie do roli komisarza Kościoła. Znamy, niestety, tych urzędników kościelnych, dla których pozor wspaniały się zarówno w starannym i punktualnym odprawianiu mszy, jak i w fundowaniu dzwonów, czy urządzaniu domów katolickich! Jeżeli już teraz pozwalam sobie na tę marginesową uwagę, to dlatego, że idąc po linii intencji pozaliterackich Bernanosa — wiem, dla kogo i po co napisał on tę książkę, dlaczego w ogóle pisał swoje książki.

WŁACAM jednak do księdza Cénabre. Człowiek ten, którego szalona, diabelska ambicja pcha do kariery, musi jednak w końcu zmierzyć się z samym sobą. I oto wynik: wie, że stracił wiarę. Wie! Cénabre wiele, może zbyt wiele, jak na postać literacką, wie o sobie. Cénabre jest cały działaniem intelektu, ale przecież „świat intelektu jest samotni, jasna a lodowata”. Takim właśnie jest Cénabre. Diabeł, który go opętał, działa poprzez intelekt. Ale na końcu takiej drogi musi leżeć rozpacz. To wtedy właśnie zjawia się ona w bohaterze, kiedy pojmujemy, że nie poza rozumem nie ma w nim i oto szaleńczy ksiądz siedzi z rewolwerem u skroni. Nie zabije się jednak, nie. To minie. „Straciłem Boga — powtarzał sobie po stokroć — nie straciłem więc nic. Ale moje życie uformowało się jako funkcja takiej właśnie hipotezy, z niej czerpało swoją rację bytu, swoją wagę. Do moich przyzwyczajęń, prac, do

mojego stanu Bóg jest konieczny. Będę więc postępował tak, jak gdyby istniał. To jest decyzja, którą trzeba powziąć raz na zawsze”.

Czy podobna przy takiej kalkulacji wyrzec się Boga? Nie. Byłoby to błędem taktycznym. Ale mimo to ów Bóg jest ze złym kapłanem stale, chodzi za nim krok w krok. Podsuwa mu nawet pewnego nocnego włóczęgę, naciągacza. I oto dwaj kłamcy, blagier z sakrą i blagier bez dachu nad głową, spotykają się w zaułku paryskim. Bóg poddaje księdzu okazję. Ale ten, który o mistykach katolickich pisał równie interesująco, jakby pisał o ruchu robotniczym, czy o drodze planu, odrzuca pokusę. Scena kończy się stufrankówką i zanieśieniem starego łazęgi w ataku epileptycznym do komisariatu. Potem można strzepnąć ręce, stary nęgus był bowiem brudasem. Ponieważ cały świat Cénabre’a jest zbudowany z rozważliwej kalkulacji i pychy, nie ma tam miejsca na życie serca. Nie ma zatem miejsca na przyjęcie bliźniego i tu właśnie spotykamy się z drugim uderzeniem Bernanosa: nasz świat obowiązków został zbudowany dla bliźnich. Gdy w naszym życiu nie ma miejsca na bliźniego, świat ten musi się skończyć kataklizmem. Niechże i to ostrzeżenie będzie uważnie przyjęte przez tych, dla których książka została napisana! (drugi wtręt recenzenta).

Miłość Tego, który czuwa — każe Cénabre’owi wezwać do siebie ks. Chevance. Ale już w momencie, kiedy zobaczył tego „spowiednika służących” pycha wytwornego estety odzyskuje swoją dawną siłę. Chevance! Święty kapłan poznaje na wyrost stan duszy i stan umysłu swego niedoświadczonego penitenta: „Ty bardzo chciałbyś wierzyć — prawi mu — że człowiek twego pokroju ulega jedynie przeznaczonym dla niego próbom, próbom na jego miarę. Wydaje ci się niemożliwym, aby Bóg umarł w tobie bez ceremonii i pompy, bez błyskawicy i grzmotów”.

Jak przyjmuje ten policzek Cénabre? Jak przyjmuje fakt, że ks. Chevance nie chce go wyspowiadać, podobnie jak on sam przed paroma godzinami zaledwie „wymówił” spowiedź Pernichonowi (z innych oczywistości pobudek). Cénabre rzuca starca na ziemię. Co ma mu do powiedzenia ks. Chevance? „Przysięgam, że mówię to w natchnieniu Ducha Świętego! Przysięgam, że czytam w tobie, jak matka w spojrzeniu swego dziecka. Widzę cię! Widzę jak ginie twoja dusza!”

ZADANIEM ks. Chevance jest służenie duszom ludzkim. Cały oddaje się tej pracy, duszpasterstwu wśród biedaków z zaułków, midnetek, przekupców i służących. Wytworzył duchowni, których sutanny opinają dokładnie diabła pychy czy pieniądza, mogą się uśmiechać widząc taką klientelę pocziwny Chevance. Ale on, jakże się cieszy, kiedy zostaje w końcu po latach „karnego” pobytu w Paryżu, mianowany proboszczem najbardziej niebezpiecznego przedmieścia, gdzie mieszkają żebracy i śmieciarze. W tym kotłowniku pieniądza, rozpusty, karier, pychy i mierności, jakim jest ta część Paryża, Chevance nie nie stracił ze swej czystości wewnętrznej, ani na moment nie przestał być kapłanem. Nawet o drugiej w nocy wezwany telefonicznie (wezwany!) do ks. Cénabre, spieszy jak do umierającego. Ale tam dopiero poznaje, że Cénabre jako kapłan, dawno już zaczął swoją agonię. Chevance nie zdążył jednak zostać proboszczem, mimo to nawet w czasie śmiertelnego ataku

uremii każe się wieść do Cénabre, ponieważ do tej pory, w ciągu kilku miesięcy nie powiedział jeszcze złemu kapłanowi, że mu przebacza. Jeszcze w czasie agonii wzywa go, rozmawia, walczy z nim w myślach. Nie może sobie darować, że nie okazał mu pełni swej miłości. Cóż to za ksiądz, który w chwili własnej śmierci myśli o grzeszniku, nie myśląc dostatecznie o tym, że sam niebawem stanie na sądzie? To święty. Ks. Chevance jest świętym i tu (trzeci wtręt recenzenta) — nagle zaczynamy rozumieć dla kogo Bernanos napisał tę książkę, kogo wzywał rozpaczliwie i dramatycznie do miłości i miłosierdzia.

Z innych postaci zasługują na uwagę panna Chantal de Clergerie, tak dalece poddająca się nie swojej woli, tak dalece wyzbyta jakiejkolwiek ambicji, że całe jej dalsze życie można przewidzieć i określić: promień świętości. To ona poddaje się rzeczywistości, która do niej przychodzi, pojmując, że nie ma przypadkowego i pojmując, czym jest pokora w życiu. Niby dobry anioł stróż czuwa przy ostatnich chwilach Chevance’a.

Kim jest Pernichon? Mały dziennikarz, który w podręcznym piśmie redaguje kolumnę katolicką. Pracowity i w miarę inteligentny, nie odznacza się jednak talentem. Pragnie zrobić jakąś karierę, ale to pragnienie jest pozbawione pychy. Kiedy ks. Cénabre odrzuca go od siebie, popada w zatarg z dotychczasowym protektorem, kompromitując się w oczach obecnej przy tym zatargu utytułowanej holoty pseudo-katolickiej, traci szanse życiowe. Traci narzeczoną. Ma długi, jest skompromitowany wobec miernot, które są zdolne bronić programu katolickiego w imię interesu wyborów. Gdy jego list do ks. Cénabre pozostaje bez odpowiedzi, Pernichon popełnia samobójstwo. Cénabre nie pomyślał zapewne o tym, że właśnie on spowodował ten straszliwy krok dziennikarza.

Inni bohaterowie książki, to zespol miernot — od biskupa Espelette do jakiejś żalonnej poetessy, owej wzorowej żony hodującej na boczku młodego kochanka. Bernanos dyskwalifikuje tych ludzi całkowicie, ośmiesza ich bezlitośnie. Nie wiele im nawet poświęca miejsca. Nawet gospodyni ks. Chevance, okrutnemu bydlęciu de la Folette, poświęca więcej uwagi niż tamtych, gdyż zło bardziej pociąga Bernanosa, w każdej swej postaci. Zło jest przeciwnikiem tak wielkim, że można z nim zacząć walkę, jest z kim rozprawić się. Podobnie należy walczyć z miernotą jako formą zła. W tych właśnie rejonach wypowiada się cała pasja bernanosowska — wie, że miernota jest wynikiem działania diabła, bo przez miernotę szatan urabia sobie świat uległych. Mierni nie mają w sobie pasji, ani celu życia. To są urzednicy rzeczywistości. To są ci „letni”. Nie wolno ich zostawiać w spokoju tak długo póki nie wydadzą swego „głosu przyrodzonego”. Oto jeszcze jedno wskazanie Bernanosa.

Formalnie powieść kończyła się sceną śmierci ks. Chevance i wiadomością o zabójstwie Pernichona. Narracja została jakby pośpiesznie doprowadziana, ale sprawa ks. Cénabre żyje. Niestety, żyje nie tylko w książce Bernanosa. Ona żyje wśród nas. Nie rozglądamy się, aby wskazać takiego lub innego kapłana, który stankowi słabą czy dokładną kopię ks. kanonika. Nie o to chodzi, przynajmniej nie tylko o to. Chodzi m.in. o aktualność problemu: Bernanos zdawał sobie z tego sprawę, jak wielka odpowiedzialność zostaje wło-

żona na kapłana z chwilą, gdy otrzymuje on święcenia. Bolała go zdrada i zakłamanie duchownych, ale Bernanos kochał człowieka. Walczył ze złem w ludzkich sercach, lecz nie opuszczał człowieka. Ileż razy powtarzał w swoich dziełach, aby nie wątpić w obecność i miłosierdzie Tego, który z nami jest. Ileż razy widział w działaniu złego człowieka tylko działanie księcia ciemności! I tu tkwi jego pasja demaskowania zła w każdej postaci. I tu tkwi siła i sens jego książek, owa pozaliteracka wartość, która nakazuje nam tyle razy w ciągu lektury robić z sobą porachunek. Czy można zatem mówić w recenzji o akcji, narracji czy intrydze powieści?...

KSIĄŻKA Bernanosa nie należy do typu tych dzieł, po przeczytaniu których jak np. po przeczytaniu książki o Bernadecie, czy „Apelu Miłości” Józefa Menendez, chciało by się upaść na kolana. Jest w niej zbyt wielka siła demaskatorska, aby tę książkę móc pokochać. Kiedyś, po przeczytaniu „Pod słońcem szatana” zastanawiałem się nad tym, czy powieść ta w czasach inkwizycji byłaby razem z autorem spalona na stosie, czy też autor zostałby zaliczony w poczet świętych.

Wracam jednak do „Zakłamania”. Jest w nim ów stały nurt komentarza psychologicznego, który osłabia dynamikę akcji, podsuwając na to miejsce dynamikę porachunków metafizycznych. Nie jest to bynajmniej łatwa lektura, również dlatego, że tak często odwołuje się do psychologii. Ale psychologia jest — mimo wszystko — nauką w powiśkach. Stanowi przytem rodzaj worka, do którego wrzucić można zarówno klejnoty jak i rupiecie. Zatrzymuje z nauki ściślej jedynie metodę, pozostawiając w pewnym sensie „umiejętnością artystyczną” podobnie jak historia. Szuka oparcia w biologii, anatomii, chemii, socjologii itp. Bernanos poszerzył jej zakres wsparcia o teologię moralną. Tam gdzie dla jednego dusza jest „sumą przeżyć”, dla Bernanosa jest ona „materią metafizyczną” podległą Łasce. Bernanos bezustannie demaskuje stan duszy swego bohatera, jak ks. Cénabre kontroluje bezustanku swą duszę przy pomocy rozumu. Stąd niepokój książek Bernanosa, stąd niepokój również i „Zakłamania”.

Jak cała twórczość Bernanosa i ta książka wydaje nam własnej świadomości, naszej kontroli, każe ustawicznie poddawać rewizji nasze sumienie. Gdzie jest ratunek? Mała Bernadetta, Józefa Menendez, ów prostaczek św. Ignacy, analfabeta, czy wreszcie ojciec Lamy nie byli obdarzeni tak subtelnym instrumentem analizy, jak umysł Bernanosa. Nie od każdego wymaga się prostoty, prawda? Ale od każdego chrześcijanina wymaga się wiary w człowieka, wychodzenia człowiekowi na przeciw, i tego domaga się autor. A domaga się przede wszystkim od tych czytelników, dla których książki swoje przeznaczył, w pierwszym rzędzie — od duchowieństwa.

Udostępnienie „Zakłamania” polskiemu czytelnikowi jest wydarzeniem wielkiej miary. Ale nie jest to wydarzenie wyłącznie artystyczne, tu można by się posprzezać. Chodzi o spojrzenie na siebie. Na szczególne uznanie zasługujące doskonały, ambitny i odpowiedzialny przekład Zofii Milewskiej, a przekładać Bernanosa, to trud niecodzienny. Dlatego nie warto zastanawiać się publicznie nad kilkoma drobiazgami składniowymi (kilkoma dosłownie), które napotkałem w tekście. Znikną przy następnej korekcie.

*) Georges Bernanos: „Zakłamanie”, str. 224. Wyd. „Pax”. Przekład Zofii Milewskiej.

Krystyna Konarska-Losimaa

Dziś

Jesteś jak tęcza, jak ogień,
Jak kropla deszczu w słońcu,
To tylko pojąć dziś mogę,
By potem już — bez końca...

Jak ptak ponad mną, gdy idę
Zawieszony w blasku traw,
Dziś widzę tylko cień skrzydeł,
By potem już — tuż w twarz...

Ja nieraz...

I ja nieraz myślałam
Tomaszku, tak jak ty.
Zawodził wzrok,
Zawodził słuch,
Niszył tumanem mgły.

I trzeba było od nowa
budować cały gmach,
od wiary — aż po miłość
w trudzie i łzach.

— By wreszcie zrozumieć poryw,
jak burza walący z nóg,
Gdyś krzyknął w wieczerniku
PAN MÓJ I BÓG.

DOKUMENT CZASU

Dokończenie ze str. 3)

funkcjonuje w książce jako uzasadnienie ogólnego także awansu klasy robotniczej. Zwycięska praca, trud ciągłego dojrzewania w przeciwnościach, konieczność decydowania o własnym losie, tworzenie warunków dla możności decydowania o własnym losie, wszystko to, co jest prawdziwe w relacji o indywidualnym życiu głównej postaci wspomnień jest także prawdziwe w uogólnieniu, w relacji o rozwoju i krystalizacji głównej siły społecznej, jaką jest klasa robotnicza. Ta zgodność nie wynika z bliżej nie dającego się określić zbiegu okoliczności, ale jest logiczną i historyczną konsekwencją poprawnego socjologicznego odczytania i ukazania sensu dziejów własnego życia narratora i sensu dziejów walk o sprawiedliwość społeczną.

Na ukazaniu żywej prawdy tej zgodności, na wydobyciu z niej wszystkich akcentów bolesnych i radosnych, na zilustrowaniu jej własnym życiem — polega główna siła dokumentu Albina Bobruka.

DOKUMENT ten ma wielką funkcję społeczną. Spełnia ją dzięki temu, że jest nie tylko dokumentem. Przecież prawdę wyrażoną przez „Matkę i syna” da się wyczytać z seminaryjnych prac studentów socjologii, nie mówiąc już o dziełach profesorów. Prawda ta wpisana jest nawet w rubryki zestawień statystycznych. Trzeba jednak umieć ją wydobyc, trzeba umieć ją pokazać w sposób żywy, przemawiający nie tylko do mózgu, ale i do serca, trzeba umieć dać jej wyraz bezpośredni i jasny, trzeba umieć uczynić ją przekazywalną.

Bobruk umie. Dokument jego jest w jakiś sposób utworem artystycznym.

W jaki sposób?

Odpowiedź trudna. Formalistyczny wątrobiarz kręciłby głowę. Ani tu nie ma jakiegokolwiek specjalnego kompozycji, poza zwykłą siatką chronologiczną, gwałconej zresztą od czasu do czasu antycypacyjnymi wtrąceniami. Ani nie znajdziemy tu nurtu fabularnego, poza zwykłym narastaniem relacji o działaniu się życia i historii. Ani słownictwo nie wyróżnia się niczym od „normalnej mowy” — poza kilkoma — raczej banalnymi zresztą — opisami przyrody. Nie z literackiego sztafażu, nie z artystycznego zdobnictwa, a jednak...

W książce „Matka i syn” jest rzetelny ładunek estetyczny. Książka wzrusza swoim surowym, twardym pięknem.

Na czym ono polega?

Postaramy się odpowiedzieć choćby ogólnie i skrótowo. Albin Bobruk połączył w swojej opowieści dar maksymalnej obiektywizacji z żarliwym, gorącym oddaniem wszystkich swoich osobistych wzruszeń i doznań, które uznał za słuszne przekazać słowu.

Już sam tytuł wskazuje drogę, którą poszedł autor. Ośnuł swoją opowieść na kanwie najpiękniejszego z uczuć, osi, czy też klamry utworu uczynił współzycie z najbliższym dla każdego z nas człowie-

kiem, karty swoich wspomnień przepełnił najprawdziwszą z ludzkich miłości, ukazał nam życie matki i swoje. Ta najogólniejsza zasada kompozycyjna stała się później — już niezależnie od autora — konfrontacją dwóch pokoleń, poszerzeniem praw jednego pokolenia przez pokolenie następcze, ale w tej chwili chodzi o ukazanie tej zasady, jako czynnika decydującego o klimacie utworu. Jest to klimat ludzkich, intymnych a jakże pięknych, choć często bolesnych wzruszeń i przeżyć. Jest to klimat wzruszeń najdosłownszych. W takim klimacie mogą się rodzić utwory piękne, choćby jedynym ich atrybutem była prostota i szczerość. Taki jest klimat książki Bobruka.

Z najczystszych wzruszeń powstać mogą wynurzenia grafomańskie. Konieczny jest dar obiektywizowania wzruszeń, dar wzruszania nimi odbiorcy. Trzeba panować nad żywiołem szczerości, która stać się może zwykłym, nudziarskim, czy ekshibicjonistycznym gadulstwem. Trzeba organizować szczerość na zasadzie respektu dla wymowy faktów.

Bobruk fanatycznym jest niemal kontrolerem samego siebie. Czułnie chroni się rozumieniem wymowy faktów przed klęską szczerości nieorganizowanej. Każde mówić tylko faktem. Jest cały w faktach, w ich kolejności, w ich selekcjonowaniu, rzadko pozwala sobie na wylewność komentatora. Fakty opowiadają. Ta wielka wobec nich lojalność sprawia, że żywioł liryczny, wielki ładunek uczuciowy relacji Bobruka działa silnie, bo pośrednio, bo nie ładno-słowizmem, bo nie tanim i gołosłownym biadaczeniem.

W ten sposób zespolona obiektywizacja i wielkie oddanie się słowu, skłoniłemu do niemal wyłącznej demonstracji faktów — dały książce Bobruka jej walory estetyczne, uczyniły ją nie tylko dokumentem złego i przezwyciężonego czasu, nie tylko zapisem zwycięstwa nowych dni, ale także utworem artysty nieświadomie, być może — szukającego trudnych dróg wypowiedzania siebie i historii.

Czasami pada on nawet ofiarą nadmiernej surowości dla samego siebie. Przesadnie respektowana zasada artystycznej samowystarczalności zestawu faktów obraca się przeciwko niemu. Bobruk nie ukazuje dostatecznie dokładnie wewnętrznego procesu dojrzewania swojej świadomości ideowo-klasowej. Wiemy, że czytał, że wstąpił do K.Z.M.P. później był w K.P.P., ale wyszło by książce na korzyść, gdyby poszczególne stadia narastania świadomości ideowej narratora ukazane były wyraźniej, pełniej, głębiej i wielostronniej.

Również lepiej byłoby dla książki, dla jej artystycznego wyrazu, gdyby autor przezwyciężył nader zresztą rzadkie — pokusy literackie, za jakie uważać trzeba dosyć chyba ładne, ale nie specjalnego nie wnoszące episy stepów, czy zupełnie niepotrzebny kompozycyjnie opis walki ze śnieżycą.

Ale to są drobiazgi. Tylko przesadny zapał krytykancki może je rozciągać do problemu. Książce one w sposób poważny nie szkodzą. Pozostanie ona książką, którą się czyta i o której się mówi, a tym bardziej, o której się pisze — z niekonwencjonalnym, wiele o randze książki mówiącym — szczerym szacunkiem.

Zygmunt Lichniak

Alan PATON

SĄD NAD

KSIĄŻKA Alana Patona pt. „Płacz ukochany kraju”, z której wybrany został poniższy fragment, jest ustraszającym oskarżeniem. Doskonałym językiem, z prawdziwie mistrzowską ekonomią słowa ukazuje w niej autor tragizm położenia tubylczej ludności południowo-afrykańskiej. Zepchnięta przez kolonizatorów do roli podrzędnych pariasów, wyzyskiwana i oszukiwana, stanowi ona tylko tło rezerwuaru siły roboczej. Paton jest sam Południowo-Afrykańczykiem, okrutne prawa rądz, w której tonie jego kraj poznał więc dobrze, a jego wiedza naukowa (jest on bowiem socjologiem i książka ta stanowi jego debiut literacki) pozwoliła mu poznać i zgłębić grunty ich przyczyny. Mimo tego tragizmu książka technicznie wiara w człowieka, który znajdzie drogę wyzwolenia się z pogardy i nędzy. Jest ona pełna głęboko chrześcijańskiego humanizmu i choć autor jej jest protestantem, ideowe tło jego utworu jest równie bliskie dla katolika.

Bohaterem powieści jest skromny pastor anglikański Kumalo. Zamieszczony fragment przedstawia scenę sądu nad jego synem. Młody Absalon Kumalo w wielkim Johannesburgu znalazł zamiast pracy i nauki — nędzę. Szybko też upada w grono przestępców, którzy ułatwiają sobie życie rabunkiem, kradzieżą, włamaniami. Jedną z takich wypraw kończy się katastrofą. Na rozprawie sądowej w skutek przebiegu dwaj współoskarżeni zostali zwolnieni. Absalonowi Kumalo prawo wymierza sprawiedliwość, prawo kraju, który nie dał mu perspektywy życia.

NA SALI rozpraw rozległo się we stchnienie ulgi. Pierwszy akt dramatu skończył się. Oskarżony Absalon Kumalo siedział nieruchomo. Nie patrzył nawet w stronę tamtych dwóch, których sąd uniewinnił. Ale Pafuri rozglądał się wokół, jakby chciał powiedzieć: „To jest śluszne! To jest sprawiedliwe!”

— Pozostaje jeszcze sprawa pierwszego oskarżonego. Sąd rozważył szczegółowo jego zeznania i uznał je za prawdziwe w tych wszystkich szczegółach, które można było sprawdzić. Bezpodstawne byłoby przypuszczenie, że jakiś człowiek przyznaje się do winy, do popełnienia zbrodni, której w rzeczywistości nie popełnił. Wielce szanowny obrońca stwierdzając, że oskarżony jest do głębi przerażony, wstrząśnięty i zgnębiony swoim czynem, podkreślając jego szczere i otwarte przyznanie się do winy i zwracając uwagę na jego młodość oraz na zgubny wpływ wielkiego i zepsutego miasta na młodego chłopca ze wsi, dowodzi, że oskarżony nie zasługuje na najwyższy wymiar kary. Wielce szanowny obrońca, głęboko poruszony nieszczęsnym wydarzeniem, które przynębiło tubylczą część naszego społeczeństwa, w przekonujący sposób dowodzi naszej własnej współwiny w tym nieszczęściu. Ale jeśli nawet prawda jest to, żeśmy czy to ze strachu czy z egoizmu czy z bezmyślności działali zgubnie, żeśmy nie uczynili aby naprawić wyrządzone zło, jeśli nawet prawda jest, żeśmy powinni się tego wstydzić i postępować uczciwiej i odważniej, niż dotąd — niemniej radzimy się prawem. Jednym z największych osiągnięć naszego niedoskonałego społeczeństwa jest to, że stworzyło ono prawo, że ustanowiło sędziów jako jego wykonawców i że zwolniło tych sędziów od wszystkich innych zadań poza obowiązkami, wynikającymi z ich urzędu. Ale sędziemu nie wolno lekceważyć prawa dlatego, że społeczeństwo musi ulec poprawie. Na razie jednak prawo to obowiązuje i musi być stosowane, a stosowanie prawa jest świętym obowiązkiem sędziego: fakt zaś, że sędzia ma swobodę stosowania prawa, przeczytać należy za objaw sprawiedliwości w społeczeństwie, które

pod innymi względami może być niesprawiedliwe. Nie chcę tu sugerować, że wielce szanowny obrońca choćby przez chwilę sądził, iż można nie stosować prawa. Pragnę tylko wykazać, że sędzia nie może i nie śmie dopuścić do tego, aby niedoskonałość społeczeństwa wpływała nań tak, żeby on sam nie stosował prawa.

W obliczu prawa człowiek jest odpowiedzialny za swoje czyny, z wyjątkiem pewnych okoliczności, o których tutaj nie ma mowy. Nie jest jednak rzeczą sędziego rozstrzygać, jak głęboko u poszczególnych jednostek ludzkich sięga ta odpowiedzialność; w obliczu prawa każdy człowiek jest odpowiedzialny w całości. I nie jest rzeczą sędziego kierować się miłosierdziem. Wyższa władza, w tym wypadku Prezydent Rady Najwyższej, może okazać miłosierdzie, ale to jest rzeczą tej władzy. — Jakże się przedstawiają niewątpliwe fakty w tej sprawie? Młody człowiek wchodził do cudzego domu z zamiarem wia-

a zapytany przez sąd odpowiedział, że nie protestował przeciwko zabraniu tej morderczej i niebezpiecznej broni. Prawda, że ofiarą był czarny. Jest kwestią zapatrywania, czy przestępstwo jest większe, jeśli ofiarą przestępstwa parcia człowiek biały; ale żaden sąd nie może zgodzić się na taki punkt widzenia.

Najważniejszym problemem, który należy tu rozważyć jest stałe twierdzenie oskarżonego, że nie miał on zamiaru zabić, że biały człowiek zjawił się niespodziewanie, że on wystrzelił z rewolweru w przestępie strachu. Gdyby Sąd uznał to za prawdę, należałoby w konsekwencji przyjąć, że oskarżony nie popełnił morderstwa.

Jeżeli są jednak niewątpliwe fakty w tej sprawie? Istnieje założenie, że było tam trzech młodych, niebezpiecznych przestępców. Prawda jest, że weszli oni do domu bez wyraźnego zamiaru zabić człowieka. Ale prawdą jest i to, że wzięli oni ze sobą broń, i że użycie tej broni mogło by z łatwością spowodować śmierć każdego człowieka, który by stanął im na przeszkodzie w osiągnięciu ich karygodnych celów.

Istnieje jedno orzeczenie Sądu Najwyższego Afryki Południowej, które stosuje się do naszego przypadku. Brzmi ono jak następuje:

„Zamiar zabić jest zasadniczym elementem zbrodni; a jego istnienie musi się wywnioskować z okoliczności, które zbrodni towarzyszą. Zachodzi zatem pytanie, czy z faktów tutaj dowiedzionych został wyciągnięty odpowiedni wniosek. Zamiaru takiego nie można ograniczyć tylko do przypadków, w których przestępca miał z góry powzięte postanowienie dokonania morderstwa: zamiar taki zachodzi także i w tych wypadkach, w których ofierze zadano ciężkie uszkodzenia ciała, zdolne spowodować śmierć, bez względu na to, czy śmierć nastąpiła czy nie”. Czy możemy przypuścić, że tam, na tej małej przestrzeni, w tej krótkiej i tra-



manii i kradzieży. Ma ze sobą nabity rewolwer. Twierdzi, że wziął go jedynie w celu nastraszenia; ale dlaczego w takim razie rewolwer był nabity? Twierdzi, że nie miał zamiaru zabić. Ale jeden z jego współników uderzył w okrutny sposób tubylczego sługę. I należy przypuścić, że sługa mógł być z łatwością zabity. Oskarżony sam zeznaje, że bronią był łom żelazny, a z pewnością nie ma bardziej okrutnego, bardziej niebezpiecznego narzędzia zbrodni. W układaniu tego planu oskarżony brał udział.

gicznej chwili, w której jeden niewinny człowiek został zastrzelony — że to wszystko działo się bez zamiaru ciężkiego uszkodzenia ciała w razie, gdyby zdarzyła się konieczność?.. Ja ze swej strony nie mógłbym poprzeć takiego przypuszczenia.

Na sali panuje cisza. Sędzia milczy także. Żaden ogłos nie dał się słyszeć — nikt nie kaszle, nikt się nie porusza, nikt nie wzdycha. Wreszcie sędzia się odzywa. Mówi:

SP. WYD. „PAX”
WZNOWIENIE WZNOWIENIE
Antoni Gołubiew
BOLESŁAW CHROBRY
powieść
komplet cztery tomy
Cena zł 112.—
Wysłać Biuro Sprzedaży Sp. Wyd. „PAX”. Warszawa, Mokotowska 43. po wpłaceniu należności na konto P. K. O. nr I-8515

tłum. Jerzy GAWROŃSKI

CZARNYM CHŁOPCEM

Sąd uznaje ciebie, Absalonie Kumalo, winnym zbrodni morderstwa, dokonanego na Arturze Jarvis w jego mieszkaniu w Parkwold, w dniu 8 października 1946 roku po południu. — Sąd uznaje ciebie, Mateusza Kumalo, i ciebie, Johannesie Pafuri, za niewinnych tej zbrodni.

Drugi i trzeci oskarżony schodzą po schodach do podziemia.

Pierwszy oskarżony zostaje sam. Patrzą za nimi jak odchodzą; może myśli: „Teraz jestem już sam jeden...”

Sędzia odzywa się znowu:

— Na jakiej podstawie Sąd może złożyć wniosek o ułaskawienie? — Rozmyślałem nad tym długo i głęboko, lecz nie mogłem znaleźć żadnych okoliczności łagodzących. Człowiek ten jest młody, ale osiągnął już wiek dojrzały. Wchodzi wraz z dwoma towarzyszami do cudzego domu, a wszyscy mają z sobą dwa rodzaje niebezpiecznej broni, z których każdy może spowodować śmierć człowieka. Robią z tej broni użytek, przy czym rezultat w jed-

ną kobietą zawodzi, i jakiś stary człowiek woła: „Tixo, Tixo”, Nikt nie nakazuje ciszy, choć sądzi nie wyszedł jeszcze z sali. Bo ktoś jest w stanie powstrzymać wybuch serca?

Wszyscy opuszczają salę sądową — biali jednymi drzwiami, czarni drugimi, jak nakazuje zwyczaj. Ale młody biały człowiek łamie ten zwyczaj i wraz z Msimangu podtrzymuje z obu stron złamanego starca, pomagając mu iść. Nie często łamają ludzie ten zwyczaj. Tylko w chwili głębokich przeżyć łamią ludzie ten zwyczaj. Młody biały człowiek marszczy brwi i patrzy ostro przed siebie. Najpierw dlatego, że jest to dlań głębokie przeżycie, a potem dlatego, że złamał zwyczaj. Takich rzeczy nie robi się tak łatwo.

★

I znowu weszli przez szeroką bramę w ponurym, wysokim murze — Ojciec Wincenty i Kumalo i Gertruda i dziewczyna i Msimangu. Przyprowadzono im chłopca: przez krótką chwilę błysnęła mu w oczach nadzieja, i stał niepewny



nym wypadku jest poważny, w drugim — fatalny. Na sądzie spoczywa ciężki obowiązek obrony społeczeństwa przed morderczymi napadami niebezpiecznych ludzi, bez względu na to, czy są oni starzy czy młodzi: i sąd musi okazać, że przestępców takich potrafi odpowiednio ukarać. Z tej przyczyny Sąd nie może złożyć wniosku o ułaskawienie.

Sędzia zwraca się do chłopca:

— Czy masz jeszcze co do powiedzenia, zanim Sąd ogłosi wyrok?

— Mam tylko to do powiedzenia, że zabiłem, ale nie chciałem zabić. Byłem tylko przestraszony.

Na sali panuje cisza, lecz mimo to biały człowiek donośnym głosem nakazuje milczenie. Kumalo zakrywa twarz dłońmi — on wie, co to znaczy. Jarvis siedzi wyprostowany i surowy. Młody biały człowiek marszczy gwałtownie czoło i patrzy wprost przed siebie. Dziewczyna, która jest jeszcze dzieckiem, siedzi nieruchomo z oczyma zwróconymi na sędziego, nie na kochanka.

— Sąd skazuje ciebie, Absalonie Kumalo, na karę śmierci. Będziesz odprowadzony do więzienia i powieszony za szyję i będziesz wisiał tak długo, dopóki nie nadejdzie śmierć. Niech Bóg ulituje się nad twoją duszą.

Sędzia wstaje, za nim wstają wszyscy. Ale nie wszyscy milczą. Skazaniec rzuca się na ziemię z krzykiem i głośnym płaczem i ja-

— Słyszysz?

— Słyszę — odparła z urazą w głosie.

Odszedł od niej i zbliżył się do okna w grubym, ponurym murze. Gertruda stała w posępnym milczeniu, ale Msimangu wiedział już, że porzuciła swój zamiar. A Kumalo zapytał syna z rozpaczą w głosie:

Czy jesteś zdrow?

Tak, ojcze — odparł chłopiec. — A ty czy jesteś zdrow?

— Dziękuję ci, jestem zdrow — rzekł Kumalo. Tak bardzo pragnął powiedzieć coś innego, ale nie mógł znaleźć słów.

Prawdziwym dobrodziejstwem było dla nich pojawienie się białego człowieka, który przyszedł, aby ich zabrać do kaplicy więziennej.

Ojciec Wincenty czekał już na nich, odziany w szaty liturgiczne. Przeczytał im coś ze swojej książki i zapytał chłopca, czy bierze sobie tę kobietę, a dziewczynę zapytał czy bierze sobie tego mężczyznę. Gdy zaś oboje odpowiedzieli zgodnie z tym, co było w książce, że chcą trwać przy sobie w dobrym i złym, w powodzeniu i niedostatku, w zdrowiu i chorobie, dopóki ich nie rozłączy śmierć — udzielił im błogosławieństwa. Później przemówił do nich krótko, napominając ich, aby byli sobie wierni i wychowywali swe dzieci w bojaźni Bożej.

— Tak więc zostali zaślubieni, i pod pisali swoje nazwiska w książce.

Gdy się to stało, wszyscy wyszli z kaplicy, zostawiając w niej tylko ojca i syna. Kumalo powiedział:

— Szczęśliwy jestem, że ślub się odbył.

— Ja również, ojcze.

Będę się opiekował twoim dzieckiem, synu, tak jakby to było moje własne...

Ale gdy się spostrzegł, co powiedział, usta mu zadrżały i byłby przestał panować nad sobą, gdyby chłopiec nie zapytał z rozpaczą:

— Kiedy wracasz do Ndotshe, ojcze?

— Jutro, synu.

— Jutro?

— Tak jutro.

Powiem ci matce, że ja myślę o niej.

Dobrze, dziecko, powiem jej. Dobrze... ma się rozumieć, że powiem. Oczywiście... Ale on nie wypowiada tych słów, kiwa tylko głową.

— I... ojcze...

— Co, synu?

Mam pieniądze na książeczce oszczędności owej. Około czterech funtów. To jest dla dziecka... Wydadzą ci to w urzędzie, jako mojemu ojcu, już proszę o to.

Dobrze, synu. Naturalnie, że wydadzą... skoro już prosiłeś o to. Oczywiście...

— I... ojcze...

— Co, synu?

Jeżeli będzie syn, chciałbym aby się nazywał Piotr.

Kumalo powtarza zduszonym głosem:

— Piotr...

Tak, chciałbym aby się nazywał Piotr.

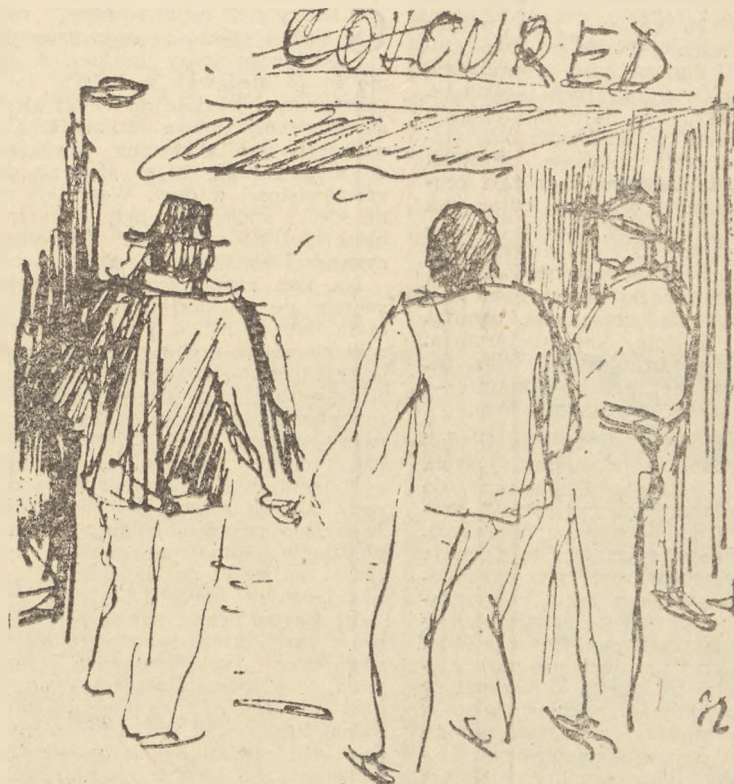
— A jeśli to będzie córka?

Nie, to nie będzie córka... nie myślałem o imieniu dla córki. I... ojcze...

— Co, synu?

Ja mam paczkę z rzeczami w Germiston, w domu Józefa Bhen gu, na Maseru Street 12. Chciałbym, aby je sprzedać dla mego syna.

Dobrze, synu.



— I mam jeszcze inne rzeczy, u Pafurego, ale on na pewno powie, że to nie moje.

— Pafuri? Ten sam Pafuri?

— Tak, ojcze.

— To już może lepiej o nich zapomnieć.

— Jak ojciec uważa.

A co co tych rzeczy w Germiston, to ja nie wiem, mój synu, jak będę mógł je zabrać, bo jutro wyjeżdżamy.

— No to trudno.

Kumalo zauważył jednak, że mu na tym zależało, więc powiedział:

— Pomówię o tym z pastorem Msimangu.

— Tak, to będzie najlepiej.

A ten Pafuri... — ciągnął ojciec z gorczyzą — i ten twój kuzyn... Trudno mi będzie im przebaczyć.

Chłopiec wzruszył tylko ramionami.

— Oni kłamali, ojcze. Oni tam byli. Tak jak ja mówię.

Tak, oni tam byli... ale teraz ich tutaj nie ma.

— Oni tutaj są, ojcze. Mają jeszcze inną sprawę.

— Ja nie o tym myślę, synu. Ja myślę, że oni nie są... że oni nie będą...

Ale nie był w stanie przemówić, by powiedzieć to co miał na myśli.

— Oni tutaj są — powtórzył chłopiec nie rozumiejąc. — Są tutaj, w tym samym więzieniu...

I nagle zawołał z rozpaczą:

Ojcze, ja naprawdę muszę jechać.

— Jechać?

Tak. Ja muszę jechać... do...

Kumalo wyszeptał:

— Do Pretorii? *)

A chłopca zdzieliła groza i rozpacz. Rzucił się na podłogę, spłaszczony się, jak Hindus; niektórych sekt w czasie modlitwy, i zaczął szlochać, a głośny i rozdzielający płacz wstrząsał całym jego ciałem. Był śmiertelnie przerażony. Starzec, co głębi przejęty litością, ukląkł koło syna i położył mu rękę na głowie.

— Bądź odważny, synu.

— Boję się! — krzyczał. — Boję się!

— Bądź odważny, synu.

Chłopiec uniósł się trochę z podłogi. Nie krył swej twarzy, wykrzywił się od płaczu.

Ojcze! Ojcze! Ja się boję tego wieszania! — szlochał — Ja się boję tego wieszania!

*) Pretoria — stolica Transwalu, siedziba rządu Unii Południowo-Afrykańskiej. Egzekucje osób skazanych na śmierć w Transwalu odbywają się w więzieniach w Pretorii.

Ojciec, wciąż kłęcząc, ujął syna za ręce. Nie były już one tak zmartwiałe jak przedtem, ale kurczowo ucpiły się jego rąk szukając jakiegoś pocieszenia, jakiegoś opieki. A starzec trzymał je jeszcze mocniej i powtarzał:

— Bądź odważny, synu...

Biały strażnik, słysząc te krzyki, wszedł i powiedział z pewną życzliwością w głosie:

— Staruszk, musisz już iść.

— Zaraz pójde, panie. Zaraz pójde, panie. Tylko daj nam jeszcze chwilę czasu...

— No dobrze, jeszcze chwilę — rzekł strażnik i wyszedł.

— Obetrzyj łzy, synu.

Chłopiec wziął chustkę, którą mu ojciec podał, i oblął łzy. Podniósł się na kolana, a chociaż przestał już szlochać, wzrok jego był nieprzytomny i zamglony.

— Muszę już odejść, synu. Trzymaj się dobrze, synu. Będę się opiekował twoją żoną i dzieckiem.

— To dobrze — mówi.

Tak jest, on mówi: „To dobrze”, ale jego myśli nie są ani przy żonie ani przy dziecku. To co ma w myślach, to nie żona ni dziecko, to co ma przed oczyma, to nie małżeństwo.

— Muszę już odejść, synu.

Wstał, ale chł piec schwył ojca za kolana i zaczął krzyczeć na cały głos:

Nie opuszczaj mnie! Nie opuszczaj mnie!

I na nowo wybuchnął straszliwym płaczem,

— Nie opuszczaj mnie!

Biały strażnik wszedł znowu i powiedział surowo:

— Teraz musisz już odejść, starcze.

Kumalo byłby odszedł, ale chłopiec trzymał go za kolana, krzycząc i łkając. Biały strażnik próbował oderwać go za ramie, ale mu nie starczyło siły, zawołał więc drugiego człowieka do pomocy. Udało im się wreszcie go oderwać i Kumalo powiedział z rozpaczą:

— Zostań z Bogiem, synu. Ale chłopiec go nie słyszał i tak się rozstali.

Z rozdartym sercem Kumalo opuścił syna i wyszedł za bramę więzienia, gdzie już inni czekali na niego. Dziewczyna podeszła doń i powiedziała nieśmiało, ale z uśmiechem:

— Umfundisi!

— Co moje dziecko?

— Jestem teraz twoją córką...

Przymusił się do uśmiechu.

— Tak, moje dziecko — rzekł

Mateusz T. MILEWSKI

»GEOGRAFIA GŁODU«

ZMOWA MILCZENIA

POD takim tytułem *) ukazała się w Londynie książka prof. de Castro, wybitnego lekarza, antropologa i demografa brazylijskiego, prezującego w Organizacji Narodów Zjednoczonych wysoką godność przewodniczącego Rady dla Wzrostu i Rolnictwa (FAO).

Stanowisko autora, jego wiedza i doświadczenie, liczne podróże, które dały mu możliwość prowadzenia studiów w wielu krajach i osobistego kontaktu z najwybitniejszymi specjalistami w dziedzinie odżywiania i produkcji środków żywności dowodzą, że książka jego jest cennym źródłem informacji. Autor, jak się łatwo domyśleć, nie jest komunistą, jest jednak do gruntu przepełniony duchem społecznym. Z każdej strony jego książki uderza bunt przeciw potwornym stosunkom, panującym w świecie kapitalistycznym. Książka napisana jest z wielką pasją, udzielającą się czytelnikowi — toteż czyta się ją jednym tchem.

Ponieważ tytuł „Geografia Głodu” może wydać się dziwaczny, już na pierwszej stronie tłumaczy de Castro, dlaczego nazwał swoją pracę geografią. W potocznym znaczeniu tego słowa geografia zajmuje się zawsze raczej pozytywnymi i dodatnimi stronami życia, nie negatywnymi. Geografowie badają skarby ziemi i zwycięstwa człowieka nad przyrodą, nie zaś jego niedole i niepowodzenia. Geografia Głodu patrzy na stosunki między człowiekiem a przyrodą zupełnie z innego punktu widzenia: zajmuje się wyłącznie jego błędami, tym, czego człowiek nie dokonał czy z braku wiedzy i umiejętności, czy też z braku woli. Bada możliwości środowiska geograficznego, których człowiek nie wykorzystał,

GŁÓD jest najpierwszym, najważniejszym i najtypowszym objawem nędzy ludzkiej. A mimo to do niedawna w świecie kapitalistycznym istniała na temat głodu zdecydowana zmowa milczenia. Cywilizacja kapitalistyczna odwracała od niego wzrok, bojąc się spojrzeć rzeczywistości w oczy. Wszystkie inne klęski społeczne były znacznie obszerniej badane w swoich przyczynach i skutkach niż głód.

Na tym etapie cywilizacji, która zaczęła się mierzwić, a skończyła imperializmem i militarizmem, robiono nawet próby tworzenia „naukowej teorii” głoszącej, że wojna jest naturalnym prawem życia. W ten sposób, kiedy wojna była głównym tematem myśli Zachodu, głód był tam co najwyżej przedmiotem sentymentalnych, bezpłodnych wzruszeń, a najczęściej — obojętności. Kiedy się pojawiło jedno studium o głodzie, o wojnie napisano w tym czasie najmniej tysiąc prac. Stosunek jeden do tysiąca!

De Castro ustala pewne podstawowe związki, które powinny być uwzględnione w światowym planie walki z głodem. Udowadnia on, że głód nie jest koniecznością naturalną. Studia nad głodem w różnych częściach świata wykazały jasno, że społeczeństwa ludzkie cierpią głód i niedostatek nie z powodu klęsk żywiołowych lecz z powodu niedociągnięć cywilizacyjnych, przez błędy i usterki ustroju społecznego.

głodu tam, gdzie na pozór mielibyśmy najmniejsze prawo tej klęski się spodziewać. Z przytaczanych przez autora przykładów wymienimy tylko kilka, najbardziej charakterystyczne, poczynając od Ameryki Południowej, rodzimego, a więc najlepiej znanego profesorowi de Castro kontynentu.

W Europie do dziś dnia utrzymuje się legenda Eldorado, przywieziona przez konkwistatorów. Amerykę Południową uważa się za kontynent o niezmierzonych bogactwach naturalnych, za ziemię obiecaną, mlekiem i miodem płynącą. Przekonanie to wzmacnia jeszcze fakt, że z demograficznego punktu widzenia Ameryka Południowa jest, w pewnym sensie, najszcześliwszym z kontynentów: na 1 km² jej powierzchni wypada zaledwie 6 mieszkańców.

Trudno więc uwierzyć, że Ameryka Południowa jest jednym z kontynentów dotkniętych obecnie najciężej klęską głodu. A w rzeczywistości głód nie ogranicza się tam do kilku obszarów — obejmuje cały kontynent. Różnice są tylko w stopniu dotkliwości, z jaką występuje. Według stopnia nasilenia głodu dzieli de Castro Amerykę Południową na dwie strefy. Pierwsza, gdzie wybitnie wadliwe odżywianie, poważne braki ilościowe łączą się z jakościowymi, rozciąga się na trzech czwartych ogólnej powierzchni kontynentu, obejmuje: Wenezuelę, Kolumbię, Peru, Boliwię, Ekwador, Chile, północno-wschodnią i południową część Argentyny i północną połowę Brazylii. W pozostałej strefie warunki odżywiania nie są tak złe, brak jedynie pewnych elementów pożywienia, które ilościowo jest raczej dostateczne.

Poza wynikami przeprowadzanych badań podaje de Castro niezmiennie ciekawe i charakterystyczne obserwacje zmian, jakie zaszły w życiu ludności tubylczej. Mówi o Peruwian skim Indianinie, szukającym głodu paroma łódkami, które zużyje przez cały dzień aby znieczulić apetyt. Indianinie zamieszkującym wyżyny, na które Inkowie, według opisów pierwszych odkrywców uprawiali ziemię systemem tarasowym i zbierali niezwykle obfite plony. Mówi też o mieszkańcach północno-wschodniej Brazylii, skarłających na diecie głoduwej — fasola i mączka maniokowa przez cały rok dookoła — podczas gdy żyzne gleby, wyzyskano pod uprawę trzciny cukrowej, przynoszącej Portugalczykom więcej dochodu niż cały zbytkowny import ze Wschodu.

Chociaż brzmi to jak paradoks, gospodarka kapitalistyczna oparta na wyzysku krajów kolonialnych spowodowała, że nawet tak wielkie bogactwa naturalne, jak olbrzymie złoża ropy naftowej, stały się przyczyną głodu Wenezueli, gdzie produkcja ropy naftowej na głowę ludności jest jedną z najwyższych. Wynikło to z wielu powodów: kapitał amerykański, który eksploatuje ropę Wenezueli, wywozi ją z kraju w stanie surowym; produkcja ropy podniosła kolosalnie ceny i chociaż zarobki są pozornie wysokie, Wenezuela jest dziś jednym z najbardziej głodujących krajów świata: 50% dzieci nie zna wogóle smaku mleka, 60% nie jada mięsa, a 90% nigdy nie dostaje jaj. Toteż szkarbut, pelagra i beri-beri zbierają tam obfite żniwo.

Specjalną uwagę autora zajmują Porto-Rico, mała wyspa na morzu Karaibskim, jedna z najczarniejszych plam na światowej mapie głodu, kolonia Stanów Zjednoczonych. Na powierzchni około 9 tys. km² tłoczy się tam 2210 tys. ludzi. Tragedia Porto-Rico wynika z nowoczesnych metod wyzysku, stosowanego przez wielki kapitał Stanów Zjednoczonych. Ludność Porto-Rico nie tylko nie może produkować środków żywności na własnej wyspie, ale na podstawie amerykańskich przepisów celnych zmuszona jest importować żywność z najdroższego rynku świata — Stanów Zjednoczonych. Cały dochód z tej bogatej wyspy idzie na kieszenie niewielkiej grupki kapitalistów, podczas gdy ludność miejscowa musi płacić horrendalne ceny za żywność i żyje w potwornej nędzy. W rezultacie mieszkańcy

Porto-Rico cierpią na wszystkie objawy niedożywienia. De Castro nazywa Porto-Rico Hong-Kongiem Ameryki, ponieważ Hong-Kong — wyspa u wybrzeży Chin zajęta przez Anglików jest symbolem potwornej nędzy i wyzysku w Azji.

ambieji, ale i — co najciekawsze — stopniowy zanik apetytu.

Pożywienie, zdaniem autora, ma decydujące znaczenie dla rozwoju i ewolucji biologicznej różnych grup rasowych oraz przy ustalaniu indywidualnych cech charakteru. De



Imperializm przyniósł olbrzymie fortuny kolonizatorom angielskim oraz nędzę i zaojanie narodom kolonialnym. Na zdjęciu wygłodniałe dzieci w Indiach.

for. C.A.F.

Będzie to niewątpliwie rodzajem szoku szczególnie dla czytelników amerykańskich — pisze de Castro — gdy dowiedzą się, jak wielka część Stanów należy do wielkich obszarów głodowych świata. Okręgiem głodu w Stanach jest całe południe, obszar zamieszkały przez z górą 30 milionów ludzi. Obszar ten wyróżnia się jako szczególnie wyposażony przez przyrodę. Bardzo mało terarów na świecie da się z nim porównać, ale równie mało zostało tak bezlitośnie złupionych, tak spustoszonych przez rabunkową gospodarkę i biedny stosunek człowieka do otoczenia.

W podobny sposób przechodzi autor przez kontynenty Afryki i Azji. Najbardziej o pomstę do nieba wołający przykład znajdujemy w Kongo Belgijskim. Murzyni tego kraju badani w rodzinnych wioskach, gdzie ich dieta opiera się na wypróbowanych i od wieków wypracowanych uprawach wykazują doskonały stan fizyczny. Z chwilą jednak, gdy idą pracować do fabryki i kopalni, gdzie dostają pożywienie według przepisów „białych panów”, padają pastwą chorób, wynikających z niedożywienia takich, jak: beri-beri, szkarbut, pelagra i inne. W rezultacie od czasu europejskiej kolonizacji miejscowo-

Castro dowodzi, że cechy fizyczne, które wymieniane były jako dowody wyższości lub niższości rasowej, nie mają z rasą nic wspólnego. Są one wyłącznie rezultatami takiego lub innego odżywiania przez długi szereg pokoleń.

W północno-wschodniej Brazylii prof. de Castro wyznaczył duże różnice antropologiczne na wybrzeżu i na półpustynnych obszarach w głębi lądu, gdzie ludność jest wysokiego wzrostu, podczas gdy w dzielonej te polacie strefie lasów wzrost ludności wyraźnie spada. De Castro tłumaczy to wyłącznie dietą mieszkańców. Na wybrzeżu ludność spożywa dużo ryb i w ten sposób zaspokaja zapotrzebowanie na białko. Na obszarach pustynnych żyje ludność pasterska, która otrzymuje białko z mięsa, mleka i sera. Natomiast w strefie lesnej gdzie trzcina cukrowa wyparła wszystkie inne kultury, gdzie niemal jedynym źródłem pożywienia jest mączka maniokowa, brak białka powoduje karłowacenie.

A przecież na rozrodność ludzką nie działają jedynie czynniki biologiczne, ale również, a może nawet w większym stopniu, czynniki gospodarcze, społeczne i psychiczne. Czyż można zatem na podstawie jednego tylko czynnika wyciągnąć aż tak daleko idące wnioski?



Nędza zmusza niejednokrotnie dzieci proletariackie do żebrania i zbierania odpadków na śmietnikach wielkich miast.

for. C.A.F.

PODSTAWY OPTYMIZMU

wa ludność Kongo zmniejszała się o połowę.

De Castro, jak już pisaliśmy, różni wyrażnie dotkliwy głód od stałego niedożywiania. Podczas gdy głód dotkliwy zabija wszystkie ludzkie uczucia i zamienia człowieka w dzikie zwierzę, głód chroniczny, czyli stałe niedożywienie, powoduje depresję i apatię, brak inicjatywy i

TRZECIA część książki poświęca de Castro udowodnieniu, że nauka i technika rolnicza mogą odegrać decydującą rolę w zapewnieniu każdej istocie ludzkiej tyle pożywienia, ile organizm potrzebuje. Zwraca przy tym uwagę na konieczność dalszego rozwoju nauk biolo-



W Porto-Rico, głód i nędza dziesiątkuje ludność. Szczególnie zastraszająca jest śmiertelność dzieci.

for. C.A.F.

okazje, które zmarnował. Jest to geografia ludzkiej niedoli, niepowodzeń i nędzy.

De Castro robi bilans stosunków między człowiekiem i przyrodą. Bilans ten wykazuje wiele pozycji na korzyść człowieka: jego ciężki wysiłek przyniósł niewątpliwe rezultaty, jednocześnie jednak jasne się staje, że człowiek znacznie więcej z ziemi wziął niż w nią włożył, że zaciągnął wobec niej wielki dług. Powszechna klęska głodu, ta hańba społeczna dzisiejszych czasów, jest właśnie wynikiem tego długu.

Autor pisze, że poszukiwał takiej metody badań, która by dawała szeroki horyzont myślowy dla objęcia zagadnienia, dla uzyskania perspektywy, z jakiej wszystkie związki, wpływy i uwarunkowania, wszystkie czynniki naturalne i kulturalne mogłyby stać się jasne i zrozumiałe. Jedyną metodą, zdaniem prof. de Castro, która może stworzyć tego rodzaju horyzonty, nie odrywając zagadnienia od rzeczywistości społecznej, jest metoda geograficzna. Stąd „Geografia Głodu”. Zastrzegając się jednak na tymczasie: „moja metoda geograficzna nie jest metodą opisaną starej geografii wylizującej fakty, ale metodą badawczą nowoczesnej nauki geograficznej”. Celem, jak sobie postawił, jest wykonanie światowej mapy zjawiska głodu ze wskazaniem wszystkich miejsc, gdzie to zjawisko występuje pod swymi najróżnorodniejszymi postaciami. Zjawiska bowiem głodu nie traktuje on w potocznym tego słowa znaczeniu, lecz podchodzi doń naukowo i daje jego naukową definicję.

*) Geography of Hunger by Josue de Castro, wyd. Victor Gollancz Ltd. 1952.

Tematem dzieła jest głód jako zjawisko masowe, jako problem społeczny. De Castro zajmuje się nie tylko zjawiskiem głodu w potocznym tego słowa znaczeniu, lecz głodem chronicznym i jego skutkami. Mówi również o głodzie częściowym lub ukrytym, gdzie brak jednego czy kilku niezbędnych składników pożywienia skazuje olbrzymie masy ludzkie na powolną degenerację, mimo że codziennie otrzymują swoją łyżkę strawy.

„Geografia Głodu” zdziera kurtynę i odsłania naszym oczom straszliwy dramat, jaki rozgrywa się dzisiaj ku hańbie ludzkości, jest też straszliwym oskarżeniem polityki gospodarczej państw imperialistycznych, które dla nabicia kieszeni nie wielkiej grupki kapitalistów wprowadziły w krajach kolonialnych systemy uprawy jednej, najbardziej opłacalnej rośliny nie dbając, że prowadzi to ludność miejscową do klęski głodowej.

Tak zwana „gospodarka kolonialna”, przy której kraje przemysłowe uzyskują potrzebne sobie surowce po niskiej cenie, nie da się pogodzić z równowagą gospodarczą świata, mówi de Castro. Bez radykalnej zmiany polityki kolonialnej, pozwalającej narodom kolonialnym produkować dla siebie w sile wystarczającej na pokrycie ich własnych potrzeb biologicznych, nie ma nadziei na rozwiązanie kwestii wyżywienia i usunięcia klęski głodu.

REGIONY GŁODU

PRZESZŁO połowę książki poświęca autor analizie stosunków wyżywienia na całej kuli ziemskiej, rysuje mapę głodu i prowadzi nas po niej pokazując regiony

gicznych. Co do możliwości podniesienia produkcji drogą zwiększenia zasięgu uprawy i podniesienia wydajności gleby, powołuje się na osiągnięcia Miczurina i Łysenki oraz powtarza znane nam argumenty, które czytelnik może znaleźć w broszurze pisarza radzieckiego, H. Iljina, „Ziemia i Ludzie”. Wymienimy więc tylko te argumenty de Castro, których nie spytaliśmy w druku w Polsce.

Instytut żywienia uniwersytetu w Rio de Janeiro znalazł w dziko rosnących roślinach północnego wschodu Brazylii najbogatsze na świecie źródło wapnia i witaminy A. Taka na przykład Bromelia laciniosa zawiera 15 razy więcej wapnia niż mleko.

Woda, mówi de Castro, może się okazać najobfitszym źródłem pożywienia. Niektórzy uczeni twierdzą, że gdyby erozja zupełnie zniszczyła naszą glebę, ludzkość mogłaby produkować wystarczającą ilość pożywienia tylko w wodzie... Morza kryją jeszcze nieprzebrane skarby. Dopiero jednak ostatnio podniesiono zagadnienie, by te bogactwa zużytkować jako źródło pożywienia ludzkiego. Nowoczesne rybołówstwo staje się z każdym dniem w coraz większym stopniu „Rolnictwem Wodnym”, które zaczyna konkuruować z rolnictwem lądowym. Od pewnego czasu uwagę uczonych zwróciło wyjątkowe bogactwo w składniki mineralne i witaminy mikroskopijnych żyłatek morskich, zwanych planktonem. Bardzo obiecujący jest również wodorost, zwany chlorellą, który hodowany w wielkich zbiornikach wody, zubożony składnikami mineralnymi i gazem ziemnym może dostarczyć ogromne ilości pożywienia. Używając tego wodorostu jako pożywki dla drożdży, uzyskuje się łańcuskową produktę tłuszczu i białka podobną do tej, której dokonuje rolnik, karmiąc świnię kartoflami i zamieniając je na mięso i słoninę.

Kwestia uzyskiwania pożywienia drogą syntetyczną wyszła już z okresu eksperymentalnego. Po raz pierwszy w dziejach możliwe jest dziś wytwarzanie z materiałów niebiologicznych, a nawet nieorganicznych pożywienia syntetycznego. Na Jamajce powstała już fabryka, produkująca 5 ton białka na dobę na zasadzie fermentacji (drożdże hodowane na masle). W tej chwili koszt pokarmów syntetycznych wyższy jest niż naturalnych, nie powinno to jednak być elementem hamującym. Nowe wynalazki są zawsze kosztowne, w miarę jednak, jak badania naukowe i doświadczalne praktyczne postępują naprzód, koszty zniżają się radykalnie.

Autor „Geografii Głodu” jako lekarz uważa, że racjonalne i dostateczne odżywienie jest pierwszym i najważniejszym środkiem zwalczania chorób i ochrony organizmu; twierdzi, iż przy racjonalnej diecie inne lekarstwa staną się zbędne.

W świetle powyższych argumentów, de Castro twierdzi, że ziemia może zapewnić dostateczną ilość żywności swoim mieszkańcom i że ta podstawowa prawda nie powinna być dłużej ukrywana przed ludzkością. Jeżeli nie wszyscy ludzie mają dziś dostateczną ilość pożywienia, dzieje się tak jedynie dlatego, że wszystkie dotychczasowe cywilizacje oparte były na skrajnej nierówności praw.

Prof. de Castro jest zdecydowanym wrogiem poglądów neomaltuzjańskich. Twierdzi, że dwie teorie odnośnie głodu, który trapi większość ludzi, są dla rodzaju ludzkiego szczególnie niebezpieczne. Jedna głosi, że głód jest nieuniknionym i naturalnym towarzyszem człowieka i druga — że jedynym przed nim ratunkiem jest zmniejszenie przyrostu naturalnego i redukcja liczby mieszkańców ziemi. Zmniejszenie przyrostu naturalnego spowodowało by zmniejszenie ilości rak do pracy i zmniejszenie produkcji, podczas, gdy zwiększenie ilości rak do pracy, przy racjonalnej gospodarce, zwiększyłoby produkcję.

Cokolwiek można by krytycznego po wiedzieć o omawianej książce, nieulega wątpliwości, że profesorowi de Castro przypada zaszczyt wprowadzenia zagadnienia żywienia do nauki geografii. Materiał informacyjny, który podaje on w swej książce, stanowi cenne uzupełnienie wiadomości z dziedziny geografii społecznej. Na początku drugiej połowy XX wieku każdy człowiek, każde dziecko powinno już wiedzieć, że bogactwa naturalne ziemi i narzędzia produkcji człowieka są zupełnie wystarczające na to, aby wszyscy ludzie mieli dostateczną ilość strawy i że jeżeli 2,3 ludzkości przemyślnie głodem, jedynymi winowajcami są: rabunkowa gospodarka i nieumiejętne wykorzystanie skarbów przyrody oraz wadliwy ustrój społeczno-gospodarczy.

M. T. Milowski

Karol KOŹMIŃSKI

TRAKT STAROMIEJSKI

JEDNĄ z cech odbudowy, czy przebudowy Warszawy jest z pewnością ciągłość. Zaledwie zakończone zostały — podkreślamy to: w przewidzianym terminie — prace przy stworzeniu dzieła zwanego potocznie Marszałkowską Dzielnicą Mieszkaniową — uwaga naszych konserwatorów i budowniczych koncentruje się na nowym zagadnieniu. Jest nim Trakt Staromiejski, tj. wycinek staromiejskiej wielkiej arterii przebiegającej Warszawę od Belwederu przez Aleje Ujazdowskie i Stalina, Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście do Zamku i stąd przez Stare Miasto do połączenia się przez ulicę Nowotki z Marszałkowską, poprzez MDM i Bagatelę znów do Belwederu. Tak więc traktem Stariego Miasta jest ściślej biorąc ulica Świętojańska, Rynek Starego Miasta, Nowowiejska, Freta i Zakroczyńska do Konwiktorskiej, przy czym zaznaczyć trzeba, iż skoro na ulicy Świętojańskiej przewidziany jest ruch jednokierunkowy do Rynku — kierunek powrotny traktu do Placu Zamkowego prowadzić będzie ulicą Piwną.

Ten nowy fragment dzieła odbudowy Stolicy nawiązuje ściśle do przeszłości. Zapakajając na miejscu cały szereg narzucających się potrzeb o znaczeniu społecznym stanowić też będzie poprzez budowę swą akt pietizmu dla pamięci wydarzeń rozgrywających się ongi na Starym Mieście, dla mieszkających i działających tutaj ludzi, których imiona przeszły do historii. Stare Miasto jest bowiem terenem walk ludu Warszawy o wolność miasta i kraju, w ulicach zaś tej dzielnicy żyli i pracowali nasi najświetlejsi i najgorliwsi patrioci. Idźmy od Zamku obok Katedry ku Rynkowi. Tu przy ulicy Świętojańskiej pod N 5 mieszkał Stefan Czarniecki, wódz wsławiony w czasach najazdu szwedzkiego — „Potopu”. Rynek zaś — to nie tylko świadek niedawnych bohaterskich walk powstania warszawskiego w r. 1944. Przed stu pięćdziesięciu wówczas laty, w pamiętną Wielkanoc roku 1794, tu, właśnie, na Rynku Starej Warszawy, szewe z Szerokiego Dunaju, Jan Kiliński, poprowadził lud warszawski do walki o wolność. Tu potem, w czasie powstania pod ratuszem staromiejskim, w maju tegoż roku lud warszawski zmusił władzę miejską do wymierzenia sprawiedliwości zdrajcom — targowiczom. Zawiśli na szubienicach ustawionych obok ratusza: hetman Ożarow-

ski, Zabiełło i Marszałek Rady Nieustającej (lud zwał ją „zdradą nieustającą”) Ankiewicz. Tu wreszcie, w czerwcu r. 1794, lud Warszawy doprowadzony do ostateczności reakcyjnością rządów pewnej części przywódców powstania, sam wymierzył sprawiedliwość innym zdrajcom, sprzedawcykom i szpiegom.

A domy Rynku Staromiejskiego? Oto jeden z najstarszych z nich, czągodna, średniowieczna kamienica książąt Mazowieckich. Tu, w r. 1361 gościł u Danuty księżnej Mazowieckiej, Kiejstut książę litewski po swej ucieczce z niewoli krzyżackiej, zaś w r. 1380 syn Kiejstuta, Witold, zwycięski później wódz w bitwie grunwaldzkiej. Tu, w Rynku, w domu pod N 22 urodziła się w r. 1798 działaczka społeczna i pisarka Klementyna z Tańskich Hoffmannowa. Na ulicy Freta 11 mieszkał Kazimierz Brodziński i na tejże ulicy w domu N 16 przyszła na świat Maria Curie Skłodowska — chluba nauki polskiej, a w tym samym też przeciw domu poległ śmiercią bohaterską powstańcy r. 1944, członekowie dowództwa Armii Ludowej.

Ulice przyległe bezpośrednio — to siedziba bądź teren działania ludzi Oświecenia i rewolucji. Na Kanonii N 8 mieszkał Staszic, który dom swój darował Towarzystwu Przyjaciół Nauk, pod numerem zaś 12 — ksiądz Jan Paweł Woronicz, na Szerokim Dunaju N 5 Jan Kiliński, wódz ludu warszawskiego w powstaniu r. 1794, na Długiej 6/8 mieściła się siedziba założonej w r. 1773 Komisji Edukacyjnej, tego pierwszego w Europie Ministerstwa Oświaty i na tejże ulicy pod N 3 mieszkał Maurycy Mochnacki, a pod numerem 4 — Joachim Lelewel, na Przyryнку 4 — w r. 1821 Walec Łukasiński, twórca Towarzystwa Patriotycznego, rewolucjonista, który jako więzień carski dopiero w r. 1867 swój bohaterski żywot zakończył. W ulicy Piwnej, gdzie w domu N 13 istniał ongi założony w r. 1442 najstarszy szpital Warszawy, mieszkał pod N 45 Antoni Magier, fizyk i meteorolog który tu, na dachu swego domu zbudował właśnie obserwatorium meteorologiczne, na Podwalu 20 — gorący patriota i pisarz Kazimierz Władysław Wójcicki. Dom na Krzywym Kole to ongi poczta XVII-wieczna założona w r. 1617 i prowadzona przez Montelupich. Pałac Sapieżyński przy ul. Zakroczymskiej 6 — to swego czasu koszarzy bohaterskiego pułku „Dzieci Warszawy”, sławnych „Czwartaków”, rekrutujących się z ludu warszawskiego, których batalionem dowodził major Łukasiński. Przy ulicy Miodowej 14 w oficynie pałacu Chodkiewiczów mieściła się znana swego czasu w Warszawie kawiarnia tzw. „Honoratka”, gdzie zbierali się ludzie powstania listopadowego r. 1830, a stara baszta zbudowana przez Annę Jagielonkę dla obrony pierwszego mostu stałego przez Wisłę, to owa „Prochow-

mentów gotyckich w pięknej, harmonijnej szacie barokowej, w tej postaci jaką Stare Miasto posiadało z końcem XVIII stulecia w Wieku Oświecenia. Wyburzenie naleciałości XIX-wiecznych przy Trakcie Staromiejskim da około 30 proc. zysku przestrzeni, dzięki zaś odbudowie powstaną tu cały szereg nowych, pięknych i wygodnych mieszkań dla ludzi pracy o łącznej liczbie trzech i pół tysiąca izb, o 64 tysiącach metrów kwadratowych elewacji, o 300-tysiącach metrów sześciennych kubatury.

Będą tu przecież nie tylko jednak mieszkania. Przy Trakcie Starej Warszawy znajdą siedzibę instytucje naukowe i społeczne, sklepy wzorcowe i punkty usługowe. Jakże się tedy przedstawia — mówiąc najogólniej — zagospodarowanie tej nowej całości?

Oto ulica Świętojańska. Za czasów Sejmu Wielkiego — twórcy Konstytucji 3 Maja — panował tu ruch ożywiony. Tu, w licznych „oficynach” i księgarniach sprzedawano kalendarze, druki, gazety i pisma ulotne, przygotowujące umysły do reform postępowych, po tym pisma rewolucyjne. A więc teraz będzie tu też panowanie książki. W domu „Czarnieckiego” rozgości się biblioteka publiczna z czytelnią i w ulicy otworzą swe podwoje liczne księgarnie, przede wszystkim może w dwóch domach o pięknych elewacjach naprzeciw Katedry. Z obu stron tych domów uliczką tzw. Powstańców i uliczką bliźniaczą, w tej chwili bez nazwy, pójdzie ciąg pieszy w ulicę Piwną. Na Katedrę zaś samą, na jej mury gotyckie z cegły mazowieckiej, zwieńczone u szczytu okładzinami z piaskowca i wieżę — dzwonnice, patrzeć będziemy musieli, jak tego chce budownictwo gotyckie, z bliska, tj. „zadzierając głowę do góry”.

Przy wjeździe na Rynek, na tzw. Zapiecku, wzniesie się odtworzona ściśle wedle wzoru stojącej tu ongi kamienicy, poczta Starego Miasta. Poziom Rynku wybrzuszony obecnie pośrodku, zostanie wyrównany, a może i obniżony nieco. Oświetlenie elektryczne dać latarnie zawieszane na krokoszytach bezpośrednio na murach domów.

Po stronie Kołtąja w Rynku idąc od ulicy Świętojańskiej, mijając będziemy za pocztą aptekę, winiar-

nię i bar kawowy. W domu dawnym Fukiera (NN 27—29) znajdzie siedzibę Związek Historyków Sztuki, zaś w kamienicy Książąt Mazowieckich (N 31) Towarzystwo Miłośników Historii. Całą stronę Dekiarta zajmie Muzeum Miasta Warszawy mieszczące się tam obecnie wraz z biblioteką Staromiejską. Trzecia strona Rynku, równoległa do Wisły, to strona Barssa. Mieścić się tam będzie pod N 20 Muzeum Mickiewiczowskie, obok którego, idąc w stronę kanonii, rozgości się w pięknych sklepach Sztuka Ludowa i „Dese”

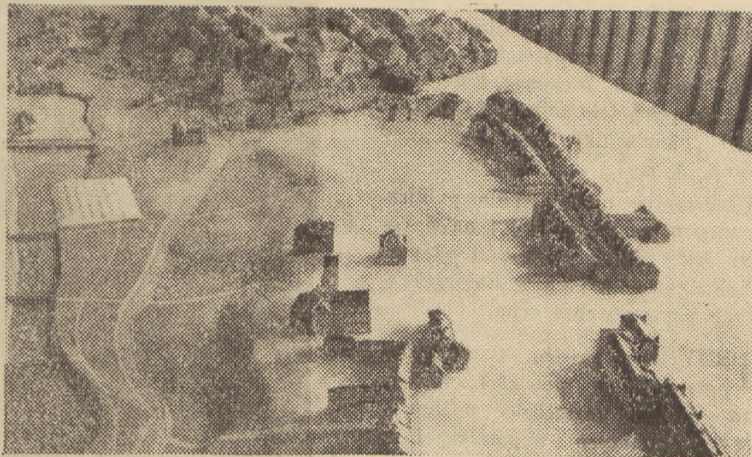


Makieta Traktu Staromiejskiego (widok od strony Nowego Miasta)
fot. W. Piotrowski

craz świetlica. Wreszcie, po stronie czwartej, „Zakrzewskiego” stanie wielki hotel turystyczny z całym szeregiem urządzeń obsługujących go, jak restauracja, kawiarnia, zakładem fryzjerskim, sklepami o charakterze wzorcowym itp. aż do Świętojańskiej.

A teraz ulicą Nowowiejską idźmy z rynku ku zachowanemu murom obronnym ciągnącym się tu szeregiem podwójnym od Wieży Mazowieckiej do Wąskiego Dunaju. Między murze ozdobią plantacje miejskie, zieleń, kwiaty i drzewa z ciągiem pieszym po środku. W dawnej fosie rozbiśnie lustro wody. W odbudowanym barbakanie gotyckim — moście obronnym, strzegącym ongi groźnie wjazdu przez Bramę Nowowiejską, znajdzie pomieszczenie... spokojny bar mleczny. A miejsce to — linia murów obronnych z wieżami i basztami czerwieniącymi się cegłą gotycką na tle zieleni i przylgającymi się w zwierciadle wodnym stanowić będzie bodaj najpiękniejszy fragment Traktu Staromiejskiego.

Tak więc Trakt Staromiejski, mimo, że staną przy nim muzea i siedziby tak poważnych organizacji, jak Towarzystwo Miłośników Historii, czy Związek Historyków Sztuki, nie będzie miał jakiegoś zasklepiającego się w epokach minionych charakteru muzealnego. Przeciwnie. Wkróczy tu z całym rozmachem i świeżością życia. Ulice traktu, wiodące poprzez Rynek Staromiejski będą ogniwem wielkiej arterii komunikacyjnej ożywiającej organizm Stolicy na przestrzeni od Belwederu po Żoliborz, zwiążą linię doprowadzoną dotychczas do ulicy Nowotki z jednej strony z odbudowanym już Krakowskim do Placu Zamkowego z drugiej. Wraz z życiem wejdzie tu ruch, światło i barwa. Domy stojące po obu stronach traktu elewacjami swymi przypominając będą do pewnego stopnia wygląd zewnętrzny starych domów Krakowskiego Przedmieścia, z tym, że barwy ich szat zewnętrznych będą jeszcze, być może, żywsza i śmielsze, znajdując swój wyraz szczytowy w projektowanej obecnie polichromii domów Rynku Starego Miasta. W ten sposób Rynek obok murów obronnych, stanowić będzie silny, prawdziwie malarski akcent w całości traktu.



Makieta Traktu Staromiejskiego (widok od strony placu Zamkowego)
fot. W. Piotrowski

ski, Zabiełło i Marszałek Rady Nieustającej (lud zwał ją „zdradą nieustającą”) Ankiewicz. Tu wreszcie, w czerwcu r. 1794, lud Warszawy doprowadzony do ostateczności reakcyjnością rządów pewnej części przywódców powstania, sam wymierzył sprawiedliwość innym zdrajcom, sprzedawcykom i szpiegom.

A domy Rynku Staromiejskiego? Oto jeden z najstarszych z nich, czągodna, średniowieczna kamienica książąt Mazowieckich. Tu, w r.

nia” — więzienie za czasów Stanisława Augusta. Tu na sprawiedliwy wyrok ludu czekał w r. 1794 Targowiczanie — zdrajcy...

Tak więc, tutaj na Trakcie Staromiejskim, mówi o przeszłości każda cegła murów i każdy kamień bruku. Oto dlaczego Trakt Staromiejski przy rozwiązaniu potrzeb społecznych dzielnicy ma również za zadanie nawiązać do przeszłości, ma upamiętnić wielkie momenty naszych dziejów i wielkie imiona działających tu swego czasu ludzi.

ROZMOWY Z WIDZEM

Na marginesie »Dni Filmu Polskiego«

8 STYCZNIA 1947 roku odbyła się w Warszawie, w kinie Palladium premiera pierwszego nakręconego po wojnie fabularnego filmu *Zakazane piosenki*. Ta bezpretensjonalna operetka filmowa zdobyła sobie powodzenie i uznanie u widzów i od tej pory dowcipy i opowiadania

Nie wszystkie filmy jakie stworzone zostały w czasie tych pięciu lat od premiery *Zakazanych piosenek*, były tak dobre, aby mogły nas całkowicie zadawać, ale już wiele z nich przyniosło nam sukcesy i podobno się widzom. Dobrze się więc stało, że w ostatnim miesiącu mie-

Młodości Chopina czy młodzieżowego *Pierwszego startu*.

Dziś możemy już powiedzieć, że *Zaloga* była krokiem wstecz w stosunku do *Pierwszego startu* a obydwie te filmy razem nie spełniły zadania stawianego filmowi młodzieżowemu. To samo dotyczy obydwu filmów o tematyce wiejskiej — *Jasnych Łanów* i *Gromady*. Wśród wielu różnych błędów obydwie mają jeden, bardzo poważny — zubożają życie wsi i nie mówią prawdy o człowieku. O filmie *Za wami pójdą inni* możemy dziś powiedzieć, że jego reżyser ma w filmie wiele do powiedzenia. Reżyser bowiem starał się w filmie tym ukazywać problemy ideowe poprzez zdarzenia i ludzi, starał się przełamywać je w konkretnych sytuacjach. Wydaje się, że jest to jeden z tych nielicznych polskich filmów którego scenariusz, mimo wielu błędów dramaturgicznych, budowany był według słusznej zasady naczelną: szukajmy w życiu i losach ludzi prawdy o świecie i o człowieku, a nie jak większość scenariuszy tych filmów: stwórzmy takie postaci i takie sytuacje, aby potwierdzały tezę ideologiczną filmu i dlatego wielu filmom budowanym według tej ułatwionej zasady niedostaje realiów i dlatego tracą one swoją wymowę ideową i artystyczną.

MÓWIMY to przy okazji obejrzenia filmu *Za wami pójdą inni* nie dlatego aby był to jedyny, albo najlepszy z polskich filmów, lecz dlatego, że obok najlepszych posiada on te zalety, które go wyróżniają.

Skoro mówimy o sprawach scenariuszowych to warto zastanowić się trochę nad mitem o braku scenariuszy filmowych, który podobno hamuje produkcję filmów. Otóż wszyscy poza pracownikami programowymi CUK-u wiedzą, że nawet przy podwojonym tempie produkcji, tematów do filmów wystarczy na najbliższe pięć lat. Bo jeśli brać poważnie zasadę, że dobry scenariusz jest podstawą filmu to przecież trzeba w pierwszym rzędzie sięgnąć po dzieła literackie. Wśród najwybitniejszych obrazów jakie powstały w krótkiej historii filmu, większość to filmy, których scenariusze oparte są na klasykach literatury. Radziecki film jeszcze z lat dwudziestych „Matka” wg. Gorkiego do dziś zachował wstrząsającą wymowę, mimo iż inne filmy z tego okresu oglądamy już tylko jako curioza. Cóż wart byłby cały współczesny film angielski gdyby nie bardzo dobre ekranizacje powieści Dickensa. Szczytowym osiągnięciem młodej kinematografii niemieckiej jest „Poddany” Manna. A my?

Wielokrotne nawoływania publiczności, w prasie literackiej i na naradach twórczych, wołania o adaptacje ekranowe klasyków naszej literatury pozostały bez echa.

JEDYNA i bardzo udana próba przeniesienia powieści na ekran dała w rezultacie najlepszy film o tematyce współczesnej — „Pierwsze dni”. Styszeliśmy ostatnio o projektach filmowania „Pamiętki z Celulozy” i „Piątki z ulicy Barskiej”, to dobrze, to bardzo dobrze, ale nie zapominajmy o klasykach! Nie całym udaną przeróbką sceniczną „Lalki” i jej braki — fragmentaryczność, brak realiów i brak przede wszystkim starej Warszawy, świadczy najlepiej, że „Lalka”, która z trudem mieści się na scenie, będzie doskonałym dziełem ekranu. Piszemy „będzie” — gdyż wierzymy, że znajdzie się ambitny i zdolny twórca filmowy, który podejmie ten trud.

Od „Zakazanych piosenek” do „Młodości Chopina” dzieli nas pięć lat, tylko pięć lat. Wiele się przez ten czas zmieniło w filmie i wokół



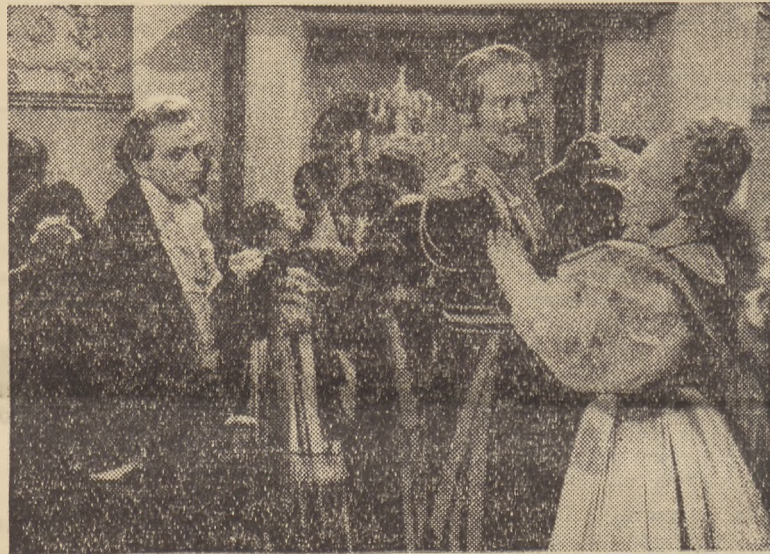
„Ostatni etap”
Na zdjęciu: T. Górecka, S. Śródka, A. Górecka i W. Bart

nas, w całym kraju. Z perspektywy czasu widać jasno, że nasz najpoważniejszy wkład w światowy dorobek filmu to obraz Wandy Jakubowskiej „Ostatni etap”, filmowy dokument walki narodów z faszyzmem, dokument wiary w człowieka.

Oceniając nasze osiągnięcia filmowe nie trzeba zapominać, że nasi fil-

gram kinowy składał się z kroniki, filmu dokumentalnego i fabularnego, niestety zasada ta do dziś czeka aby ją wprowadzić w życie.

NA zakończenie wróćmy do samego przeglądu filmów polskich. Do brzo się stało, że został on zorganizowany w okresie kiedy przygotowujemy się do spełnienia obowiązku oby-



„Młodość Chopina”
Na zdjęciu A. Śląska i Cz. Wollejko w scenie balu.

mowcy zaczęli robić filmy z niczego, a dziś mamy hale zdjęciowe, studia, laboratoria, własny przemysł kinotechniczny i przede wszystkim przeszedł 1300 kin na wsi. Te 1300 wiejskich kin to najpoważniejsza załuga działalności organizacyjnej Filmu Polskiego. W życiu kulturalnym

watelskiego — do wzięcia udziału w wyborach. Tematyka naszych filmów, związana ze współczesnością wiele może nauczyć. Jeszcze kiedy oglądaliśmy „Zakazane piosenki” wydawało się, że Warszawę będziemy odbudowywali 100 lat a już w okresie oglądania „Skarbu” wiedzieliśmy, że War-



„Dom na Pustkowiu”
Na zdjęciu Aleksandra Śląska i Maria Gella.

wsz mają one znaczenie rewolucyjne, szkoda tylko, że czynniki społeczne i sam CUK poświęcają im jeszcze za mało uwagi.

O naszych filmach dokumentalnych, oświatowych i rysunkowych czy kukielkowych trzeba przede wszystkim powiedzieć to, że więcej się o nich słyszy i pisze niż się je ogląda.

Na zjeździe twórców filmów dokumentalnych jeszcze przed czterema laty zapadła słuszna decyzja aby pro-

szawa będzie dziełem naszych rąk. I ten film utwierdzał w nas tę wiarę.

Wprowadźmy do dziś na wielu polskich filmach ciąży jeszcze „gierka”, „sytuacyjka” i „chwycik” zapożyczony z niesławnej pamięci „branży” filmowej, ale wartość artystyczna i rola wychowawcza i społeczna wszystkich naszych powojennych filmów nie daje się nawet porównać z „towarem” produkowanym przez „branżę” dla publiczki

L. GIEL.



„Warszawska premiera”
Barbara Kostrzeuska w roli Haliny.

• „kinofikacji” nabrały ciepłego tonu. Od tego czasu co roku na ekran kin wchodziły dwa, trzy nowe filmy polskie. Siedemnaście tych obrazów w ciągu pięciu lat to nie jest zbyt dużo, to nawet jest mniej niż spodziewaliśmy się. Ale sztuki nie oblicza się na pęczki — ciężar gatunkowy jednego takiego filmu jak *Ostatni etap*, głęboki humanizm *Ulicy Granicznej*, przewyższają swoją wartością kilkanaście przeciętnych obrazów. Wielkie filmy żyją długo — o małych zapomina się w ciągu roku.

liśmy okazję, w czasie trwania Dni Filmu Polskiego, obejrzeć cały niemal dorobek filmu polskiego. Zupełnie inaczej wygląda jego ocena z perspektywy czasu. Recenzje z filmów, pisane na gorąco nie dają nam już dziś żadnej oceny filmów — są przestarzałe, ale na szczęście widz daje sobie doskonale radę bez nich i sam potrafi niejednokrotnie wypowiedzieć swoje zdanie o filmie. Świadczyły o tym najlepiej długie kolejki przed kinami w czasie wyświetlania w Dniach Filmu Polskiego. *Ostatniego etapu*, *Ulicy Granicznej*,

Barbara Grubner Eysmontt

Słowa umierają jak ludzie
Bez głosu, bez jęku na wargach.
I nic już nie może ich zbudzić.
I wszystko je może stargać.

To nie jest już czas rozmyślań.
Ale czas, w którym trzeba dojrzeć.
Sto myśli trzeba przekreślić.
Jedną wyrzec: pokoju i chleba.

Słowa umierają jak ludzie
Wśród pocisków — od broni.
Jakże mówić — kiedy płoną miasta
Jakże kochać, kiedy niebo płonie.

Jakże uczyć w szkole małe dzieci —
Jak wykrztusić, że nad jakąś rzeką
Nie sto ptaków — sto kartaczy leci.
Jakże przysiądź, że to jest daleko?

Słowa umierają jak ludzie —
Bez głosu, bez jęku na wargach,
Ale wszystko je musi budzić,
Ale krzywdą je musi targać.

Niech powstają jak Chrystus z martwych,
Niech się budzą codziennie krzykiem;
Dokąd jeden choć człowiek unieży —
Dokąd jeden człowiek jest nikim.

Ewa SZONERT

Powieść o poszukiwaczach złota

„Jakże często zdarza się, że książka przeczytana czy sztuka, którą oglądaliśmy w teatrze, budzą w nas emocje wybitnie sprzeczne... Te same postacie, sytuacje, wydarzenia oddziałują na nas jednocześnie tkwiąc w nich prawda i budzą sprzeciw zawartą w nich nieprawdą.”

W cytowanym zdaniu Kierczyńskiej („Spór o realizm” P.I.W. 1951 r. str. 84) chodzi, jak się zdaje, o zamierzenia autora oraz o sposób ich realizacji. W niektórych utworach widzimy dysproporcję między tym, co miało być, a tym, co zostało powiedziane.

Taki zarzut można postawić trylogii Katharine Prichard*).

Autorka jest założycielką i wybitną działaczką Komunistycznej Partii Australii, bierze czynny udział w ruchu Obrońców Pokoju, pracowała również w organizacjach antyfaszystowskich. Urodziła się w 1894 r. Debiutem jej w 1916 r. była powieść pod tytułem „Pionierzy”. Ulubionym tematem Prichard jest życie australijskich poszukiwaczy złota. W jej dorobku pisarskim omawiana trylogia, wydana po ostatniej wojnie, jest próbą ukazania rozwoju „złotego” górnictwa w Australii.

Akcja „Burzliwych lat” pierwszej części trylogii, toczy się na terenach złotodajnych Zachodniej Australii w latach 90-tych ubiegłego stulecia. Nie ma wtedy jeszcze ogromnych kopalń, nie przyjeżdżają wielcy inwestorzy zagraniczni, górnicy nie strajkują, by uzyskać lepsze warunki pracy. Panuje gospodarka drobno-towarowa. Zorganizowany ad hoc wyścig do złotodajnych pól, zwany „rushem”, prowadzi opanowanych gorączką złota ludzi różnych charakterów, należących do różnych grub społecznych. Ludzie ci bez żadnych przeszkód zajmują poszczególne działki, okokowują je i spokojnie szukają złota z mniejszym lub większym szczęściem. Ale powoli sytuacja zaczyna ulegać zmianie. Kopacze sprzedają swoje działki wielkim przedsiębiorcom czy to krajowym czy zagranicznym, osady górnicze rozbudowują się w zadziwiająco szybki sposób, przez Hannas, które do niedawna było obozem kopaczy mieszkających w namiotach i naprędcie skleconych szalassach, biegnie kolej, poszukiwacze nie kopią złota na własną rękę, ale pracują jako górnicy w kopalniach. Wybuchła walka o prawa kopaczy aluwium. Następuje przejście od gospodarki drobno-towarowej do kapitalistycznej, która prowadzi do wyzysku, do zażartej walki robotników z właścicielami kopalń, walki o poprawę bytu człowieka pracy.

Tak przedstawia się problematyka „Burzliwych lat” od jej „strojny teoretycznej”. Widzimy normalny rozwój stosunków kapitalistycznych. Zanalizujmy jednak, w jaki sposób realizuje te problematykę Katharine Prichard. Rush na tereny złotodajne zaczyna się wtedy, kiedy do Southern Cross przyjeżdża Artur Bayley, zawiadamiając o odkryciu złota. Pierwsza wyprawa wyrusza na tereny i od tego momentu wszystko układa się jak najbardziej sielankowo. Poszukiwacze martwią się tylko o wodę i żywność. Nie ma żadnych nieomal zadrażeń między ludźmi opanowanymi gorączką złota, która czyni z nich przecież prawie szaleńców. Wypadki zaczynają się toczyć z większym dynamizmem dopiero od chwili przyjazdu Sally Gough na tereny. A i wtedy fakt kradzieży udziałów Morrisa przechodzi jakoś niepostrzeżenie.

Autorka chciała wyraźnie ukazać sprzeczności ustroju kapitalistycznego, dowodząc czytelnikowi istnienia konfliktów między skromnymi poszukiwaczami złota a wielkimi posiadaczami kopalń. Czyż jednak nie zbyt nagle pojawia się problem walki o prawa kopaczy aluwium? Dinny Quin, który w początkowych partiach powieści był poszukiwaczem złota

myślącym tylko o możliwościach nowego ruszu i lubiącym snuć wspomnienia - nagle staje się działaczem związkowym. Czy nie za szybko, zwłaszcza, że Dinny jest współwłaścicielem kopalni i utrzymuje się ze złota, jakie zabierał na poszukiwaniach. Nic nie przeszkadza, że podobnie jak Alf Brierly mógłby również zostać dyrektorem kopalni i wtedy stałby na takim samym stanowisku jak tamten, który dbał tylko o swoją karierę Zresztą Dinny w ostatniej rozmowie z przyjacielem rozgrzeszył go z jego antyrobotniczej postawy.

Fakty opisywane przez Prichard są w dużej mierze autentyczne - czerpie ona wiadomości z opowiadań starych poszukiwaczy złota. Nie jest jednak w pełni wierna postulatowi realizmu. Nie ukazuje wpływu „gorączki złota” na psychikę poszukiwaczy - zachowanie się Morrisa Gough w czasie choroby jego żony to jeden drobny fakt, a takich wypadków było napewno więcej.

„Burzliwe lata” minęły. Coraz więcej kopalń jest czynnych na „Złotej Muli”. Hannas zmieniło nazwę na Kalgoolle. Miasto rozrasta się, bogacą się właściciele kopalń. Jednocześnie pogarsza się los wyzyskiwanych górników. Rosnie świadomość klasowa robotników - rozpoczyna się walka. Walkę tę pokazuje druga część trylogii. Akcja tu umiejscowiona jest w czasie pierwszej wojny światowej i kryzysu powojennego. Wydawałoby się, że powieść o warunkach bytu górników, powieść realistyczna powinna ukazać w pełni przebieg walki klasowej. Tymczasem w ujęciu Katharine Prichard sprawa wygląda nieco inaczej. Autorka rzuca akcję na tło przeżyć osobistych paru zaledwie ludzi - ukazuje zdolnego przywódcę ruchu robotniczego - Toma Gough, ukazuje na przykładzie Paddy Cavana plecie się w górę drogą wyzysku innych. Bezwzględnie są to wypadki dość typowe. Autorka jednak nie przedstawiła dostatecznie jasno, że w walce klasowej zaangażowana jest cała klasa robotnicza, nie tylko jednostki. Dyskusję, jakie toczą Dinny i jego przyjaciele na werandzie pensjonatu pani Gough, obiadu, które Frisco de Morfe wydaje dla właścicieli kopalń - wszystkie te fakty nie świadczą jeszcze o takim czy innym zachowaniu się obu stron walczących.

Dużo miejsca w powieści zajmuje sprawa nielegalnego handlu złotem. Nikczemne postępowanie Paddy'ego Cavana jest wymierzona przeciwko klasie robotniczej - skupując od górników złoto kapitalista doprowadza do aresztowań pozabawiając ludzi w ten sposób możliwości zarobkowania. Autorka wybiera jeden spośród wielu wypadków wykrycia nielegalnie przetrzymywanego złota. Zamiast jednak sprawę Morrisa i Toma ukazać na tle szerszym, sprawdza wszystko do osobistego zażartu Cavana z rodziną Gough. Prichard nie daje w powieści wielu elementów obyczajowych, które łączyłyby sprawy jednostek ze sprawami ogólnymi zbiorowości. Jeżeli spotykamy w powieści fragmenty opowiadające o życiu ogółu robotników, to są one traktowane przez autorkę raczej ubocznie. A także fakty jak gra „w orla i reszke”, wiece poszukiwaczy czy anegdota Dinne'go są cennymi przyczynkami do poznania górników nie tylko z nazwisk Prichard wiele tych nazwisk wprowadza do powieści, ale osoby je noszące nie grają często prawie żadnej roli, a przecież miały za zadanie nakreślenie przed czytelnikiem jak najbardziej realistycznego obrazu. Zdania, które wypowiada Dinny czy Tom Gough sprawiają wrażenie komentarza odautorskiego - nie mają pokrycia w zachowaniu się ogółu górników, bo tych właściwie nie poznajemy w trylogii, w ich pracy czy zabawie - jeśli nie liczyć paru zaledwie epizodów.

Podczas pierwszej wojny światowej - wyniku polityki ekonomicznej imperialistów - robotnicy stali się „mięsem armatnim”. Nic dziwnego, że panowało wśród nich niezadowolone. Wyraz jego przejawiał się w powieści jedynie w uczuciu rozpaczki pani Gough po stracie syna. — To za mało.

„Skrzydlate ziarna” - trzecia część trylogii, jest opowieścią o

działalności Billa Gough. Przebieg i rezultaty jego walki i tutaj są ukazane na tle indywidualnych dzieł rodziny Gough. „Skrzydlate ziarna” poruszają również wiele ważnych problemów: walka z faszyzmem w Hiszpanii, strajki górników australijskich, położenie krajowców, druga wojna światowa. Tu może najjaskrawiej widać zdecydowaną postawę klasy robotniczej w strajkach czy na wojnie. Ale dlaczego na przykład głównymi inicjatorami ruchu pomocy walczącej Hiszpanii są pasterskie Cavana - kapitalistki? Można powiedzieć — sui generis rekompensata za krzywdy wyrządzone robotnikom przez ojczyznę. W takim razie jednak - co robią robotnicy? Pomoc pieniężna i udział w wiecach protestacyjnych to jeszcze nie wszystko. Bill Gough jest właściwie samotny w swej walce, nie poparty zdecydowanie czynną postawą zbiorowości robotniczej.

Postawienie problemu i jego rozwinięcie to dwie rzeczy, które powinny się z sobą łączyć. Nie wystarczy tu same pointy, które stara się dać Prichard. „Zmusić tylko przemysł górniczy do służby interesom ludu, a nie będzie po-

wodów do zmartwień” („Złota mola” str. 579) „Ziarna które posiałyśmy, wejdą jak nasiona skalnej gruszy, choćby nawet trafiły na jałową, kamienistą glebę” („Skrzydlate ziarna” str. 402) - cytowane zdania są jasnym potwierdzeniem problemu. Jednak w toku powieści ginie on czasem, ustępując miejsca mało ważnym sprawom jak miłość Sally do Frisco czy wizyta Billa Gerrity u państwa Gough czy wreszcie wycieczka Sally, Dinne'go i Frisco starym samochodem. Może i takie epizodyki są potrzebne. Ożywiają one akcję, ale wydaje się, że wypadki poza może początkowymi partiami „Burzliwych lat” toczą się tak ciekawie i żywo (to powinno się zapisać na plus trylogii), że nie trzeba dawać zbyt dużo epizodów.

Zaciemnianie głównego problemu jest również wynikiem powtarzania się autorki. I tak np. w „Burzliwych latach” życiorys Gough opowiedziany jest aż trzykrotnie, dwa razy wspomina autorka o Modeste Maryańskim i teorii tellurków, zbyt często wraca do analizy miłości Sally i Frisco. Takie zatrzymywanie się parokrotnie nad jedną sprawą nuży czytelnika.

Poezja szorstkiego gestu

G DYBY ktoś miał bzika na punkcie tropienia walki pokoleń w literaturze, gdyby ktoś usiłował znaleźć w poezji współczesnej naszego kraju ślady odwiecznego rzekomo sporu młodych ze starymi, gdyby wreszcie ktoś „na siłę” chciał przyrównywać ten spór do sporu, jaki sto trzydzieści lat temu rozgorzał między romantykami i klasykami, oczywiście: pod Mickiewiczowskim sztandarem widziałby młodych, a w obozie „śniadecko - koźmianowym” uwielbzył starzych. Nie mogąc przeprowadzić wyraźnej linii podziałów ideowych, przeprowadziłby podział według kryteriów formalnych. A więc młodzi — to poeci antyhoracjan-skiej, antybołowskiej reguły, gardzący wszelkimi listami do Pizonów, zwolennicy rozwiniętego wiersza i chropawej muzyki dysonansów, czupurni odważnicy gardzący cenzurą i przecinkami, a wielbiący wykrzykniki, ludzie pośpiesznego słowa, głosiciele brutalnej krzepy, bojkotujący umiar, spótki wierszy dobrze odmierzonych, zwycięzcy tryglodyci sztuki pisania na murze. Naprzeciw nich starzy: poeci dla których cenzura jest prawem nienaruszalnym jak prawo ciężenia, poeci respektujący wymowę przecinka, unikający wulgarności wykrzyknika, zakochani w rytmicznym oddechu aleksandryjskiej strofy, wierni do śmierci pełnemu rymowi, trochę ulizani, trochę nudni, piękni i sztywni. Ci i tamci — teza i antyteza.

Tak może sobie to naciągnąć maniak lubujący się w porównaniach. Zadowolony z niby historycznej analogii radośnie zatrzepocze rączkami i postawia poetów: wśród tych rozwiniętych upcha Woroszyńskiego, Mandaliana i im podobnych obok wielkiego Ildefonsa, po namyśle (niezbity głęboki) każe się z nimi łączyć Różewiczowi (bo ten ma appollinaire'owską manierę lekceważenia interpunkcji), a wśród ulizanych postawi Jastruna, Staffa, Słonimskiego, Tuwima i resztę piszących Polaków. Proszę! Wszystko się zgadza! Jest stary podział klasycystyczno-romantyczny.

Przerwijmy jednak tę zabawę. Żle się nasz maniak bawi. Nie ma stałych podziałów. Historia się nie powtarza. Naciągane analogie są bzdura. Klasyfikacja naszego maniaka jest fałszem. Ścieranie się odmiennych koncepcji formalnych przebiega nie według prościutkiej linii pokoleń, ale często wikła jednego poetę w wewnętrzne sprzecznościach, często odwraca zasadę łączenia starych z ulizanymi i młodych z rozwiniętymi. A już z nawiązywania do sporu sprzed stu trzydziestu lat koń nawet śmiać się nie chciał. Nie tylko dlatego, że Mandalian jest ociupinkę mniejszy od Mickiewicza a Jastrun nie przypomina Koźmiana, ale dlatego, że cała sytuacja w nim nie przypomina tamtej, którą wytworzyli „Ballady i romanse”. To sprawy wiadome, truizmowe, oklepne. Nasz maniak duby smolone bredzi i rozumowi bluźni.

Dlaczego więc przypominać jego mętne wywody? Hm... Trzeba to wreszcie powiedzieć: nasz maniak ma — mimo wszystko — trochę racji. Smutne, ale prawdziwe. Umiejemy nawet od wariatów przyjmować to, co przypadek lub szczęśliwy zbieg okoliczności przekazał z prawdy ich majaczeniom.

W czym nasz maniak ma rację?

Jest rzeczą charakterystyczną, że większość poetyckich debiutów, jeśli debiutantami są młodzi ludzie, wyróżnia się manifestacyjnym — w zakresie spraw formalnych — rozwinięciem, lekceważeniem normalnej składni poetyckiej, pauperyzowaniem poetyckiego języka, stylizowaniem na brutalną prostotę, na chropowatą teżyżnę, na surowy, zwycięski prymityw. Tak jak dawniej według niepisanej prawa obowiązującej wówczas konwencji literackiej musiał debiutant wykazywać się wiązanką okostychów czy — jeszcze dawniej — sonetów lub nawet rond, jeśli już nie canzona, tak dzisiaj musi zabłysnąć zdaniem niekształtnym, wierszem chropawym, wyszlifowanym w kształt kamiennego topora, dzirytu lub młota. Ten nowy snobizm staje się nową formą konwencji literackiej. Konwencje literackie są koniecznością, jako konieczność są uzasadnione, ale jako maniera są szkodliwe. I tu gdzieś trafia prawie w sedno zbłąkana strzała naszego maniaka.

MANIACY mogą być gołosłowni. Nam — nie wolno. Oto debiutantki tomik młodego poety Edwarda Holdy*). Gdyby chodziło o sprawozdawczą recenzję, można by ją ze spokojnym sumieniem napisać według przydatnego w tym wypadku klucza: zdolny poeta, wnikliwe widzenie przedmiotu, szlachetna i służna postawa społeczna, odważny wybór tematyki wiejskiej, w sumie — wartościowa zapowiedź. Gdy jednak zrezygnuje się z banalnej recenzji na rzecz bardziej problemowego określenia zjawiska — sprawa nie wygląda tak prosto.

Holda jest zdolnym poetą — to pewne. W wierszach jego widać zdolności przetwarzania poetyckiej materii w zobjektywizowany wyraz własnych wzruszeń i doznań. Holda widzi wnikliwie opisywany przez siebie świat. W takim utworze jak np. „Spotkanie” potrafi przetłumaczyć zjawiska zewnętrzne na język konfliktu samistnego jednostki i na odwrót z wewnętrznych konfliktów jednostki, potrafi wyciągnąć społeczny sens toczącej się walki. Holda zajmuje właściwe ideowo stanowisko wobec otaczających go zjawisk przemiany społecznej. Jego żarliwość ideowej nikt nie ma prawa kwestionować. Wielu może się nią przejąć. Holda dosyć pioniersko zdecydował się na wybór tematyki wiejskiej dla swojego tomiku. Tak. Recenzent może nazwać ten tomik ciekawą pozycją.

*) Edward Holda: Sprawy powszednie”, PIW, W-wa, 1952, str. 50.

ka i odrywa jego uwagę od głównego toru akcji.

Bohaterowie Prichard żyją w powieści, czytelnik czuje sympatię do postaci pozytywnych, odnosi się z niechęcią do potępionych przez autorkę. Jedno tylko wydaje się niewłaściwe — Tom, Dick, Bill Gough, Nadia Owen ludzie najbardziej zasłużeni w walce klasowej — giną w momentach, kiedy są najwięcej potrzebni, a nie widać ich następców. Takie rozwiązanie sprawy, że mimo optymistycznego zakończenia powieści ogarnia nas dziwne przynęcenie.

Na zakończenie parę słów o przekładzie Szaniawskiego i Dehnela. Utrzymali oni dynamizm akcji, żywe dialogi — bez dosłownego tłumaczenia idiomów angielskich. Szaniawski pozwala sobie nawet na udaną żonglerkę słowną.

Mimo zarzutów stawianych trylogii, należy stwierdzić, że autorka przeżywa postawiony problem, ukazuje z pasją naocznego świadka konflikty na terenach złotodajnych i zalekawia czytelnika — a tu spełnia się zadanie wyznaczające powieści.

Ewa Szonert

Ale jeśli ktoś w najcieńszych nawet tomikach widzi problemy literackie, jeśli ktoś uważa, że nie jest rzeczą złą, lecz przeciwnie słuszną i wskazaną problemizowanie literatury ten nad „Sprawami powszednimi” musi się inaczej pochylić. Stana się one wtedy sprawą poezji szorstkiego gestu, sprawą dzisiaj wśród młodych poetów prawie powszednią.

Polega ona na sztucznej szorstkości frazy poetyckiej, na teatralnym gęście, na aktorskim grymasie mimicznym. Specjalnie porwane zdanie, specjalnie strywalizowana metafora i specjalnie okaleczona ortofonia wiersza mają dać wrażenie prymitywnej siły, surowej rudy, nieobrobionej a pięknej w swej pierwotności materii poetyckiej. Niechęć wobec takiej pozy nie wpływa z przeczułenia, z wrażeń naskórka estetycznego, czy z zamilowania do wierszy czyściutkich, gładziutkich, różowutkich i miłutkich, przysypanych pudrem „Bebi” lub skropionych „Soir de Paris” czy „Chat noir”. Nie chodzi o poczę dla panienek, które nie znoszą słów ze spółgłoską „r”, nie chodzi także o poezję — jakby dawniej rąbnął Tuwim — dla mdłych i płowych panien lubieżnych.

Cenić trzeba poezję męską i twardą. Cenić trzeba poetów, którzy jak Majakowski, nie wahają się udzielić dobrze i lakonicznie zrynowanej odpowiedzi na pytanie „Co dają za to, że gnijesz w okopach trzy lata równo”? Niechęć do poezji szorstkiego gestu jest niechęcią do „szorstkości”, która we wszelkich postaciach jest szkodliwa dla piękna wzruszeń poetyckich.

Ta poza u Holdy nie jest pozą ideową. Nie ma podstaw do podejrzenia Holdy o nieszczerość przekonań. Są natomiast podstawy do oskarżenia go o nieumiejętność znajdowania właściwych środków wyrazu. Przyjął on bowiem wyraz konwencjonalnego sztafażu na pauperyzm poetycki. Przeczytaliśmy choćby wspomniane „Spotkanie”. Prawie każde zdanie chce być strofą. Każda strofa — wykrzyknikiem. Wiele strof to kreski. Za dużo w tym robionej kanciastości, brylowatości, zachowatej teżyżny niedosłownia. Rozluźnienie się w nadmiernych elipsach — chwilami jest wręcz niemota. To co mówi „Stary ślusarz o żelazie” jest pseudometafizyką ukochania rzeźmienia. Metafora o nocy, która jak buty z cholewami naciaga wzgórze na nogi, a później jak pięta lyska polny źródłem — to fałszywa trywializacja i barekizm wynikły z sztucznej pozy na szorstkość.

Przykłady można by mnożyć. I nazwisko Holdy dało by się pomnożyć przez inne. Wiele nie krzyżmy o formalizm, o tym że „to drobiazgi”, nie piśmienny na krytyków, lecz zastawmy się...

Warto.

Z. L.

Katharine S. Prichard „Burzliwe lata” tłum. Klemensa Szaniawskiego. Sp. Wyd. Ośw. Czytelnik. 1950 r. str. 564.

„Złota mola” tłum. T. J. Dehnel. Sp. Wyd. Ośw. Czytelnik. 1951 r. str. 580.

„Skrzydlate ziarna” tłum. T. J. Dehnel. Sp. Wyd. Ośw. Czytelnik. 1951 r. str. 402. 2 nłb

Leszek PROROK

Huzary znów biwakują w Poznaniu

HUZARY prezentują się znacznie lepiej niż damy. Prostolinijni, ożywieni przyjaźnią, na wszystko patrzą przez pryzmat swych żołnierskich doświadczeń. Kawalerskie wczasy w majątności majora noszą charakter ucieczki od świata. Sytuacja taka ma poniekąd odpo-

wystąpieniem podstarzałych załotników jeszcze jedną wiosnę.

W powojennym Poznaniu jest to już druga wiosna z kolei. Dn. 27.IV.1945 Teatr Polski rozpoczął swą działalność „Przeziębłą”. Następna premiera w dn. 18 maja 45 „Damami i huzarami” otworzyła

atrakcyjnej niespodzianek. Od lat szkolnych wzrastamy oswojeni z ich postaciami, intrygą, atmosferą i tonacją słowa. Każde wznawienie pogłębia w nas swoisty stosunek zażyłości i swobody, zaprawionej jednak wciąż i podziwem. Jeśli wciąż z jednakim przejęciem uczestniczymy w perypetiach fredrowskich bohaterów aż do ostatniego zapadnięcia kurtyny, dzieje się to nie przez moment zaciekania, ale dla wielu czynników, z których nie najmniejszy stanowi „smak wypowiedzenia” fredrowskiego słowa. Określenie, zapożyczone przez Boya z teatralnej kariery klasycznych francuskich, podkreśla czynnik, który trwoni pochopnie niejedną inscenizację. Klarowny, soczysty język Fredry w wierszu czy w prozie to szkoła polszczyzny, upowszechnienie językowego piękna. Sztuki Fredry należy tak grywać, by warto ich było słuchać czas cały, nawet z zamkniętymi oczyma. Słowo klasyka jest bowiem w ustach aktora depozytem, którym dowolnie obracać nie można. Niestety inscenizacja ostatnia budzi zastrzeżenie w tej mierze. Nad troskliwością o wypowiedź górowała pantomima, zbyt rzadko budowana, nawet jak na krotkowidła. Przerysowana ucieczka huzarów w II akcie znalazła się na skraju amatorszczyzny. Raziła zbędna ilustracyjność wielu gestów. „Damy i huzary” posiadają dość komizmu w treści i w dialogu. Gest winien go jedynie uwydatnić, lecz nie przygłuszać.

Do miary znamienia urasta sprawa słynnego „nie uchodzi” w ustach kapelana pułkowego. Wielokrotny powrót powiedzonka składa się na istny koncert intonacji, pełny subtelności odcieniów i różnic znaczeniowych. Podobnym rarytasem naszej scenicznej literatury są słowa Natali Gonczarow „Najjaśniejszy Panie!” do cara Aleksandra w „Maskaradzie” Iwaszkiewicza. W poprzedniej inscenizacji „Dam i huzarów” majstersztyk gry aktorskiej w roli tej pokazał Wł. Neubelt. Obecny kapelan, Włodzimierz Dobrzański, zawiódł. Szkoda, gdyż wiązały go z rolą niełatwe warunki zewnętrzne.

Władysławowi Stomie, reżyserowi tegorocznej inscenizacji, żelaznemu majorowi huzarów poznańskiego siedmioletnia, rola ta wyraźnie odpowiada, pozwala wydobyć dużo jowialności, rubasznosci i tych wyidealizowanych cech, które Fredro niegdyś wspomnień wiązał z mundurem. Kreacji majora można jednak zarzucić, omówione już sumarycznie, nadużycie mimiki.

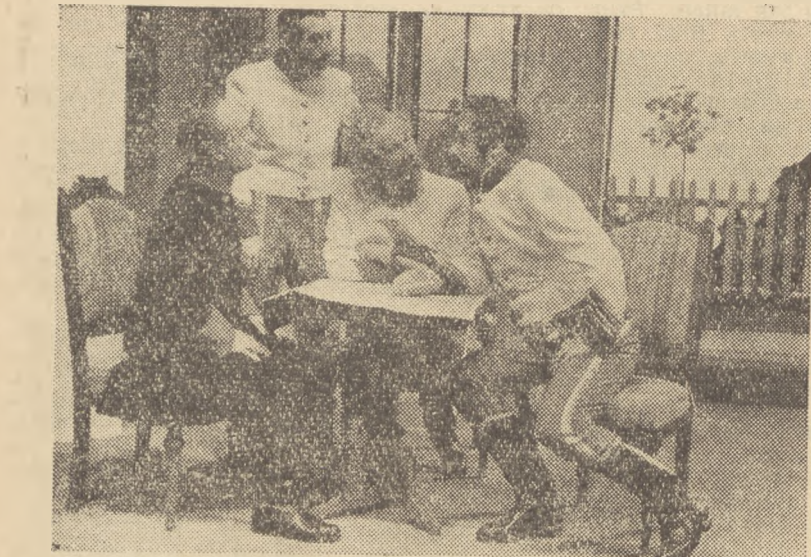
Oszczędniej niż poprzednik, gospodarował gestem rotmistrz (Olech Moliński), lecz zawodziła go ekspresja słowa. Nie wygrał przekonująco pendant do śpiewki kapelana, sławetnego „Co za kobita!” z II aktu. Pamiętając rok 1945 dźwięczały wspomnienia b. dobrego w tej roli L. Dytrycha. Nie przyniosły rewelacji role starych huzarów, Grzesia i Remby.

Konto dam i ich francymery wypada nieco korzystniej. Siostry,

pierwszorzędne w typach. (J. Sachnowska, Z. Wierzejska : H. Czechowska, ostatnia podobnie jak w 45 r. w roli panny Anieli) reprezentowały baniej realistyczny świat intryg i cynizmu rodzinnego. Najwięcej dokumentalnych akcentów krytycyzmu społecznego wniosła gra J. Sachnowskiej jako pani Orgonowej. Za gaffę inscenizacji liczyć należy pluszową czy tekturową makietkę „lubego Filunia” na jej ręku. Czołowa scena Wielkopolski powinna unikać takich półśrodków.

Zawiedli też kochankowie, Jerzy Krasicki (porucznik) i Janina Marisówna (Zosia obu powojennych inscenizacji). Amory porucznika trąciły o miłą cywilizację. Brakowało huzarskiej szarży. Brakowało też ognia i wervy sercu, do którego stary wiarus, Fredro, kazał swemu bohaterowi szarżować.

Spektakl, którym Państw. Teatr Polski powitał publiczność po wakacjach, ogólnie biorąc, wypadł słabo. Niepoślednie jego walory wskazać można jedynie wśród drugorzędnych czynników przedstawienia, jak np. doborowej oprawy kostiumowej wszystkich ról, z wyjątkiem zbytecznego „uniformizmu” subretek. Krytyczna ocena całości wiąże się z szeregiem kłopotów natury obsadowej, jakie przeżywa scena poznańska, z mankamentami w stylu i metodach pracy. Należy się im osobna analiza. Oklaski, które padały raz po raz przy podniesionej kurtynie są zasługą niezawodnego Fredry, który już niejedno wytrzymał i przetrwał.



Państwowy Teatr Polski w Poznaniu. „Damy i Huzary” A. Fredry. Na zdjęciu od lewej Wł. Dobrzański (Kapelan) J. Krasicki (Porucznik) Wł. Stoma (Major) O. Moliński (Rotmistrz) fot. Z. Maksymowicz

wiednik w życiowych kolejach Aleksandra Fredry. Jako wyrostek zaciągnął się do wojsk ks. Józefa, które w 1809 r. wkroczyły do Małopolski. Sześć lat służby w różnych pułkach i korpusach to bodajże jedyna w życiu Fredry trwalsza szkoła. Dwudziestodwuletni „absztynowany” oficer zagrzebie się w galicyjskiej wiosce na resztę długiego życia. Kariera nie przypominająca w niczym poetyckich żywotów tej epoki. Jeśli kto później drzwi od hałasów Europy zamykał, był nim zapewne nie Mickiewicz lecz Fredro.

Kapitał żołnierskich wspomnień z lat wojaczki i pułkowych przyjaźni złożył autor „Zemsty” na wysoki procent. Jego odsetki w długiej galerii typów fredrowskich — to szeregi postaci żołnierskich, jedynych bodajże bez plam w tym światku, który poza fasadą szczerego śmiechu i wesela ukazuje autor jako smutny obraz dekadencji moralnej j. oświeconych. Miał co prawda „barską” przeszłość również krewki łowca posagów, Raptusiewicz, bardziej zeń jednak wзира powiatowy warchoł, niż żołnierz regularny. Major ani rotmistrz nie gonią za majątkiem, nie snują intryg. Gdyby kazano im świat urządzić, nowy ustrój przypomniaby niechybnie regulamin wewnętrzny szwadronu, a wszechstronny Grześ zająłby w nim urząd wielkiego wezyra.

Żywa sympatia do munduru, wyrosła na podkładzie wspomnień, skłoniła zapewne Fredrę do rzucenia najbardziej żelaznego tematu swego repertuaru, targów małżeńskich, raz jeszcze na tło naiwności żołnierskiej. Stało się to dla odmiany w formie lżejszej, niemalże krotkowidłowej, choć i tu nie kurezy się zaplecze ostrej prawdy o stosunkach oraz obyczajach ery i sfery. Kupczenie córkami czy kuzynkami musiało być instytucją bujnie w życiu rozkręconą, skoro przypadła mu rola właściwego motoru akcji. Mniej co prawda w „Damach i huzarach” realiów szlacheckiego życia niż w „Zemście”, „Dożywociu” czy innych dziełach, lecz nawet bez tego dzisiaj szy widzi, wypzulony na osadzenie fabuły w konkretnych stosunkach, z niesatysfakcją zadowoleniem wita wakacyjne perypetie huzarów niewiadomej armii, odpoczywających po nienazwanych bojach. Wieczna młodość klasyków świeci za każdym

twórczości Fredry szeroką drogą na sceny wielkopolskie. Po siedmiu latach „Huzary” znów biwakują w Poznaniu, po części w tej samej obsadzie. Już ten ostatni fakt skłania do refleksji porównawczych, niestety niewesołych.

Głośniejsze utwory Fredry nie kryją dla większości publiczności te-

WACŁAW OLSZEWSKI

S a t y r y

OSTATNI MOHIKANIE

ROBINSON

W symbolach kryjąc swą niewiedzę, w sloganach swe lenistwo niancząc — czasami jeszcze w pismach siedzą tacy genialni dyletanci:

spółdzielnię jedną tylko znają (tę w Wilkowicach koło Rawy) zapaska, folklor, flora, zając — o ludziach nic. Po prostu nawyk.

O panu Właście wiele wiedząc — drobnomieszczańskie gusty niancząc i jeszcze siedzą (ciagle siedzą) w Radio — genialni dyletanci:

małe mieszkanko w planie wielkim, Lady z tubylcem na Thaihi i nowe cegły, nowe belki, nowa Warszawa. I ja. I ty.

Rekwizyt kryje ich niewiedzę, schematy ich lenistwo niancząc — w Związku Plastyków jeszcze siedzą tacy genialni dyletanci:

plan (dla takiego) tylko hutą, a morzem — molo i „Batory”, reszty „nie widzi”, na co mu to, gdy ma już wydźwięk i koloryt.

W powtarzalności swą niewiedzę, w łatwiznie swe lenistwo niancząc — czasami jeszcze w Filmie siedzą tacy genialni dyletanci:

drzemiąc za biurkiem — mają słownik: gość w białym kitlu z mikroskopem, kombinezony przy walcowni, traktor z dziewczyną (rzadziej z chłopem)

Nowe obiekty rosną wokół i Nowa Huta jest już „starsza”, co rok ruszają w bój o Pokój nowe roczniki w nowej szarży —

a o n i w prasie, w Radio siedzą niedouczeni i leniwi i popisują się niewiedzą o dziełach nowych, ludziach żywych...



Biedny rozbitek z okrętu „Wczoraj” — po brzegu obcym drepce z mozołem: nieznana fauna, dziwaczna flora — biedny rozbitek, biedny Kruzoe.

Biedny Robinson nie rozumie: nie ma Kasyna, ani „hajlaju”, „mesje” i „frauen” — też nie ma w tłumie — czy sztorm ich wymiół? burza? czy tajfun?

Tłumy tubylców (uczniów, włóknarzy, dzieci z przedszkoli i robotników) leżą brzozy na własnej plaży, jak czarni bracia z nad Tanganiki.

W obcym dialekcie, w nieznanej gwarze szepeją, w kawiarniach przy polskim winie — łódzcy włóknarze i tramwajarze — dziwni tubylcy w dziwnej krainie.

Biedny Robinson nie rozumie: nie ma Rolls-Royców, ni Coca cola i wydr i snobów też nie ma w tłumie spacerującym po własnych molach.

Biedny Robinson sam jest, jak kołek na wyspie wspólnej, własnej i naszej. Role zmienione. już nie Kruzoe — lecz Robinsona uczy Piętaszek...

CHOROZY Z UROJENIA

Był sobie chłop i baba bardzo „chorzy” oboje: ona — kaszłąca i słaba, on — skurczony we dwoje.

Obojgiem ten sam motyw kierował w ich „chorobie”: w nią: siódme były poty, on: miał coś na ułotrabie.

Od płaczu puchła ona, jego żółć zalewała, on — z bezczynności korał, ona — z zaparciem (nie)pracowała szlag trafia po fabrykach.

Z biura, warsztatu i hali — szli pod pierzyny i puchy — na wszystko już kichali i zamierali w bezruchu.

Błagali lekarzy o świstki (aby do pracy nie iść) ślepi i głusi na wszystko —

— niech zdrowi nie tracą nadziei, już „chorobliwie” te zdania z naszego słownika — absencję w Nowym Planie